№ 40. Warszawa, dnia 2 Października (20) Września 1886 r. Rok VI.

PRAWDA

TYGODNIK POLITYCZNY, SPOŁECZNY I LITERACKI.

PRENUMERATA „PRAWDY"
(wraz z bezpłatnym dodatkiem)
W Warszawie: miesięcznie kop. **70**, kwartalnie rs. **2**, rocznie rs. **8** z odnoszeniem do domu.
Z przesyłką pocztową do wszystkich miejsc Królestwa, Cesarstwa i zagranicy: kwartalnie rs. **2** k. **50**, rocznie rs. **10**.

Adres: Złota Nr. 23.

Administracya otwarta codziennie, z wyjątkiem niedziel i świąt ważniejszych od godz. 10 do 5.
Redaktor przyjmuje interesantów w czwartki, piątki i soboty od 1 do 3 po południu.
Rękopisy drobne nie zwracają się.

Przedpłatę przyjmują: Administracya **Prawdy** oraz księgarnie, kioski i kantory pism peryodycznych.
Sprzedaż pojedynczych numerów po kop. **20** w Warszawie w Administracyi pisma i w kioskach.
Ogłoszenia wszelkiej treści po kop. 6 za wiersz lub jego miejsce.

TREŚĆ. *Polityka*: Samopomoc. — Z Austryi p. S. — Tydzień polityczny. — *Powieść*: Woły. — *Sprawy ekonomiczne*: Z Francyi p. P. — *Badania naukowe:* Historya. Puławy II. p. B. — *Literatura i sztuka*: Wybitniejsze prądy w nowoczesnej literaturze francuskiej II. p. F. Rawitę. — Zmienione czasy. Zygmunt Kaczkowski: Abraham Kitaj p. W. — *Fejleton*: Liberum veto p. Posła Prawdy. — Na widnokręgu p. Nieborskiego — British Museum p. W. L. Kronika bieżąca. — Odpowiedzi redakcyi. — Ogłoszenia.

Nakładem naszym wyszła w osobnej książce i jest do nabycia w Administracyi *Prawdy*, oraz we wszystkich księgarniach

LOGIKA Liarda.

Cena w oprawie rs. 1.

POLITYKA.

SAMOPOMOC.

„Śmieszną, jeżeli nie wprost ze złej wiary wypływającą jest pretensya, aby owo kresowe Poznańskie było w stanie obronić się *samo* nawale teutońskiej, aby do skuteczności tej obrony wystarczały ze strony reszty kraju tromtadratyczne (?) frazesy, płaczliwe sentymentalizmy, gadaniny na bezradność i zgermanizowanie poznańskiego ducha przy najdoskonalszem lenistwie własnem. Tutaj trzeba zamiast gderania i frazesów, zamiast bezpłodnych ostracyzmów i oskarżeń, rozbudzenie ducha solidarności — i oto jest pole, na któremby prasa po za obrębem Prus sprawie, o której tak koszlawo dotąd mówi, prawdziwe usługi oddać mogła." Tak *Dziennik poznański* karci pisma polskie, głosujące w przedmiocie nowej roboty germanizacyjnej. Jak żaba z bajki woła on do nas: „dla was to jest igraszką, a nam idzie o życie," zamiast rzucać kamieniami, poradźcie bez szyderstw, czem mamy się ocalić w tym naszym stawie, z którego nam wodę spuszczono. *Gazeta polska* przekłuła ten patryotyczny balonik i wypuściła z niego gaz oburzenia; zasługuje on jednak i z naszej strony na bliższą uwagę. Widzimy w nim dwa męty: naganę dla prasy polskiej za lekkomyślne urągowisko poznańskiemu nieszczęściu i żądanie, ażeby dwie siostry wynalazły sposób ratunku trzeciej. Być może, iż gdzieś tam w łamach prasy padło jakieś nieoględne słowo; ażeby ona wszakże na braterskie rany przyłożyła plaster z „gderactwa, płaczliwych komunałów, tromtadratycznych (?) wykrzykników, bezpodstawnych oskarżeń i śmiesznych pretensyj" — to jest przesada, którą tylko naturalnym napadem nerwowym wytłomaczyć można. To prawda, że klęska nieco oprzytomniła nas, że zdobyliśmy się na kilka cięć krytycznych; ale jeśli kto mniema, że z zamkniętemi oczami uniknie wilczego dołu, niewątpliwie weń wpadnie. Właśnie główną omyłką naszej polityki ratunkowej było zawsze łudzenie się. Względem nieprzyjaciela zewnętrznego stoimy zawsze pod bronią, ale wewnętrznemu, który w nas samych tkwi, pozwalamy wprowadzać się we wszystkie zasadzki. Każdy alarm, każdy strzał w tę stronę uważamy za samobójstwo i morderstwo, a gdy zły duch nas opęta, nie chcemy go żadnem zaklęciem wypędzić. *Dziennik poznański* nie złowił objawu lekkomyślności, ale zdradził głęboko zaszczepioną w naszym charakterze odrazę do krytycyzmu.

Wskażcie drogę obrony — mówi on — a my nią chętnie pójdziemy. Alež wy obmyślcie plan — odpiera *Gazeta polska* — a my wam w wykonaniu go pomożemy. Odpowiedź słuszna. Bo któż powinien kierować pracą ratunkową: czy ci, co są na miejscu i znają warunki działalności praktycznej, czy też ci, którzy ich nie znają i najlepszą wolą chybić mogą? Chociażby nas *Dziennik* opatrzyć miał plombą „tromtadracyi," przeczuwamy, że cały ten rozmach skończy się na odrzucaniu sobie wzajemnie piłki patryotycznej przez granicę. Pieśniarze klęski zawieszą swoje harfy na wierzbach, usiądą nad brzegami Wisły, popłaczą i rozproszą się po świecie. Od czasu jak Poznańskie uznało, że „*samo* nawale teutońskiej obronić się nie może" — zapadł wyrok nad ich dolą. Gdyby nawet w innych dzielnicach polskich znalazła się gromadka ludzi gotowych do narodowo-ekonomicznej ofiary, gdyby powstała spółka, usiłująca wykupywać majątki, na których germanizacya położyła swe łapy, nie można łudzić się ani rozmiarem tego przedsięwzięcia, ani jego trwałością, ani nadzieją powodzenia. Kilkaset tysięcy — włóżmy różowe okulary — milion rubli nie wystarczy, energia powoli osłabnie, a wobec zakazu, odmawiającego w Prusach praw obywatelskich polakom obcego poddaństwa, cofnie się kapitał, odcięty od swego posiadacza i nie pójdzie ani jako bezinteresowna ofiara, ani jako niepewna pożyczka. Przypuśćmy, że znaleźliśmy gdzieś Krezusa, któremu skargi poznańskie serce i kieszeń otworzyły: w jakąż postać przybierze swą pomoc, skoro nie wolno mu będzie na trzy dni pojechać do Prus, choćby nawet w ich obrębie zakupił wszystkie ziemie polskie? Pozostaje ufność. Wyszczerbiła się ona znacznie dowodami lenistwa i nieopatrzności, a wreszcie sromotnego podsuwania ziemi ojczystej pod kieszeń niemiecką. Cała woda Warty nie zmyje ani faktu, ani hańby z tych panów poznańskich, którzy oświadczyli gotowość sprzedania swych majątków komisyi kolonizacyjnej. O taki fakt rozedrze się najczulszy sentymentalizm rodziny narodowej, pragnącej pomódz nieszczęśliwemu jej odłamowi.

Niemcy miażdżą Poznańskie walcem germanizacyjnym, łamią mu członki, rozciągają je na torturach; ale polacy tamtejsi nie okazują należytej żywotności, energii i oporu. Stamtąd nachodzą do nas tylko Hiobowe wieści, oddechy konania i martwoty. Z wyjątkiem ludu, w którego twardą naturę zalew niemiecki jeszcze naj-

trudniej wsiąka, nie ma tam ani jednego żywiołu, ani jednej warstwy, któraby służyła za podstawę dążeniom obronnym. Zdawało się, że taką oporę stanowi Kościół. Dziś i ta skała kruszyć się zaczyna, pogłębiając i rozszerzając nurt germański. Nie ze źródeł o bezstronność podejrzanych, ale z przychylnych klerowi płyną zupełne pod tym względem rozczarowania. Korespondent *Czasu*, donosząc o zwiedzaniu szkół przez komisarzów regencyjnych podczas wykładu religii, pisze: „Nie tajno tu nikomu, że rządowi chodzi o to, aby Kościół legalizował swoją powagą niemiecki wykład religii; stąd oburzenie między nami wielkie, iż ks. biskup Redner pozwolił się użyć do tego jako narzędzie.“ Według korespondenta, zamiary rządu pruskiego sięgają jeszcze dalej, mianowicie pragnie on wykazać, że „dzieci polskie znają już język niemiecki o tyle, iżby i w kościele naukę przygotowawczą do pierwszej komunii w tymże języku pobierać mogły.“ Tak swemi skrzydłami osłania prześladowanych owa „jedyna arka,“ która ich przez „wszystkie burze“ przeprowadzić miała.

Czy poznańczycy nie zbyt wyłącznie na niej oparli swoje marzenia, swoją politykę? Zarzucaliśmy im to kilkakrotnie. Dziś gdy Leon XIII obdarzył ich Dinderem, a Dinder wszystkiemi dobrodziejstwami kosmopolityzmu ultramontańskiego, w którego młynie narodowość się miele na placki papieskie, złudzenia pierzchnąć powinny. A ponieważ Stolica Apostolska wydaje poznańczykom tylko kwitki z odebranych ofiar, bez żadnych zobowiązań, ponieważ naokoło wieje chłód samolubstwa, ponieważ najserdeczniejsze pragnienia w rodzinie narodowej udaremnia rzeczywistość, więc ta kraina niedoli powinna przedewszystkiem dźwigać się i bronić samopomocą. Niestety, na to ona się dotąd nie zdobyła, tylko legła na łożu boleści, wezwawszy do narady lekarskiej przyjaciół i krewniaków, którzy sami ledwie żyją.

Z AUSTRYI.

Wiedeń, 23 września.

Nieco o austryackiej polityce wewnętrznej i zewnętrznej. — Nędza ugodowa. — Jak się przedstawiają chwilowo stosunki parlamentarne.

Pomiędzy austryacką polityką wewnętrzną a zewnętrzną nastąpiła chwilowo równowaga, przynajmniej o tyle, że tu i tam chaotyczna mgła zalega w równym stopniu widownię, mgła, wśród której ani wzrok hr. Taaffego, ani tem mniej hr. Kalnokego nie zdoła zoryentować się dostatecznie.

Gdyby przynajmniej Kalnoky dorósł Taaffemu! Ale gdzie tam. Taaffe jest przynajmniej panem położenia, jeżeli potrzebuje jako prawdziwy dworak wyrażać dynastyczne uczucia wobec przeróżnych ludów austryackich. Umie on zawsze tak sterować powierzoną sobie nawą, że ta przybija zwykle do przystani interesów domu cesarskiego, naturalnie, o ile na to pozwalają dane okoliczności.

Hr. Kalnoky i takim nie może się poszczycić skutkiem, ponieważ stanowczo nie umie tak sterować nawą, żeby ona mogła zawinąć do przystani interesów dynastycznych, które pod względem polityki zagranicznej mogą być równoważone z interesami monarchii. Austryacki minister spraw zagranicznych nie posiada nawet zdolności swoich poprzedników, jeżeli o zdolności może być mowa wogóle. Hr. Andrasy był przynajmniej zręcznym *fajscurem*, br. Haymerle biegłym urzędnikiem, który z dyplomatycznej spuścizny nic nie uronił, hr. Kalnoky jest generałem kawaleryi, który nawet nie umie rąbać krzyżową sztuką. Na polu też austryackiej polityki zagranicznej nie widać nic, tylko niepewną chwiejność i brak wszelkiej energii. Przyjaźń z Niemcami, która swojego czasu na dziarskim i ognistym paradowała rumaku, wlecze się dziś na kulawej szkapie i jest raczej ciężarem wolnego działania Austryi, aniżeli rękojmią jej wielkopaństwowego stanowiska. Nie byliśmy nigdy zwolennikami austro-niemieckiego sojuszu, nawet w chwili powszechnego oszołomienia, kiedy rolę karyatyd tego przymierza odgrywały z rzadkiem zaparciem się siebie ludy słowiańskie. Nasi polscy politycy korzyli się w prochu przed największym ciemiężcą swojego własnego narodu, więcej może z bezmyślnej uległości dla rządu austryackiego, niż bojaźni, mającej gdzieindziej swoją przyczynę. Teraz zaczyna dosadnie występować wartość przyjaźni niemieckiej dla Austryi. Żelazny kanclerz z cynicznem lekceważeniem rzuca jej dobrem jak zabawką, pomimo wszelkiej serdeczności przy zjazdach w Kissingenie i Gasteinie. Gra ta na opak uderza nawet baranie głowy austryackiej dyplomacyi, która stoi bezradnie wobec wikłających się spraw półwyspu Bałkańskiego, spoglądając błagalnym wzrokiem raz ku piaskom nadsprejskim, to znowu ku Albionowi, który jednakowoż nie chce swoją kupiecką ręką wyciągać austryackich kasztanów z ognia bułgarskiego. Na porządku dziennym stanęło pytanie: co to będzie? Zaniepokojona opinia publiczna nie umie dać odpowiedzi, tylko spadek austryackiej renty stanowi na razie ponure tło krajobrazu chwili obecnej.

Co z tego będzie? Pesymiści mniemają, że wojna; austryacczy półurzędowi trabanci pocieszają się myślą ostatecznego przyłączenia Bośnii i Hercegowiny, sądząc, że przecież Austrya musi być przy wspaniałomyślności niemieckiej odszkodowaną za to, co niepowetowanie straciła w Bułgaryi. Tymczasem trysnął na tych optymistów promień zimnej wody z prasy rosyjskiej, wśród której odezwał się głos, dziennikom wiedeńskim telegraficznie przesłany, że Austrya tylko za odstąpienie Galicyi i Bukowiny na korzyść Rosyi może otrzymać Bośnię i Hercegowinę. Miałby „uczciwy makler niemiecki“ istotnie doradzać podobną zamianę?...

Wolimy wrócić do spraw wewnętrznych, bo te przecież, lubo także niepocieszny przedstawiają widok, dadzą ująć się konkretnie. I tu chaos, ale trochę więcej przejrzysty. Tu można przynajmniej odczuć pewien kierunek i odgadnąć zamiary rządu. Tu nie ma podobnej *tabula rasa*, jak ta, która zaległa dziedzinę polityki zagranicznej. Hr. Taaffe przynajmniej o tyle zasługuje więcej na uznanie, że program swój „stawia po nad stronnictwami“ i przeprowadza go dość konsekwentnie. Rzec można, że stoi on jedną nogą na prawicy, a drugą na lewicy, przygniatając obie partye ciężarem swoich niefortunnych rządów. Rysunek taki, zdaje nam się, najle-

---

POWIEŚĆ.

WOŁY.

Najcenniejszym przymiotem natury jest jej rozmaitość. Nie ma podobno jednakich dwu kropli wody, dwu liści na drzewie. Wyobraźnia, pomysłowość przyrody nietylko zdumiewa, ale stanowi źródło wielu naszych zadowoleń. Bo czemże byłoby życie śród widoków tożsamości? Czytaniem książki, sklejonej z komunałów. Od czasu istnienia świata słońce codzień inaczej wschodzi i zachodzi, bo natura może wytwarzać nieskończoną ilość kombinacyj. Malarze mają zapewnione tematy i nie potrzebują się powtarzać.

Polak smutny zawsze filozofuje, więc i ja prządłem nici z tego kłaczka uwag, a choć je woźnica przeciął pytaniem: która godzina? — rozmyślałem dalej:

Ręczę, że i te dwa byczki, mocujące się rogami na paśniku, są odmienne od wszystkich poprzednich, współczesnych i przyszłych, a nawet figlują oryginalnie. Przerwały zabawę, spostrzegłszy przejeżdżającą bryczkę, fuknęły nozdrzami, zwróciły uszy ku przodowi i przyglądały się nam bacznie, jak dwaj młodzi szwajcarzy podróżnikom. Z lasku wyszedł chłopiec wiejski, który mijając je, krzyknął i śmignął prętem. Byczki odskoczyły nieco, ale znowu stanęły odważnie.

— A nie pójdziesz ty od nich, kanalio — zawołał na chłopca orzący nieopodal parobek. Sybirak szelma — przeszkadzają mu!

Poczciwy człowiek — rzekłem do siebie — strzeże wołki jak dzieci i nie pozwala ich nawet płoszyć.

Bryczka nasza, wybrnąwszy z piasku, potoczyła się raźniej wzdłuż niw zżętych, zalanych złocistymi odblaskami sierpniowego słońca, które coraz mocniej dopiekało. Spotykaliśmy ludzi, pracujących w polu, bydło, wyskubujące trawę ze rżyska, psy, myszkujące po nieskoszonych jarzynach, niemowlęta zawieszone w płachtach — a ja ciągle, mimo skwaru i kurzu, rozsnuwałem przekonanie, że cały ów krajobraz w tej postaci ułożyła natura po raz pierwszy.

Przy drodze stał wóz drabiniasty, naładowany zbożem. Wieśniak, zanim ruszył, wyrwał z dużego, prawdopodobnie dworskiego łanu wiązkę grochu i karmił nim woły, które jadły z powagą niemców, posilających się przed ciężką robotą.

Troskliwy gospodarz, kradnie a żywi swoich pomocników!

Pył znowu otoczył nas obłokiem, koła zagrzęzły w piasku, długą smugą zalegającym stok znacznej wyżyny. Przed nami para rosłych i dobrze utrzymanych wołów ciągnęła na wozie sosnę. Dwaj chłopi, podparłszy ramionami kłonice, pomagali wyprężonym zwierzętom, zachęcając je do wysiłków.

— Ho, ho, dalej małe, uuup!

Ale woły, szarpnąwszy kilkakrotnie, stanęły. Starszy wieśniak zbliżył się do nich, pogłaskał po głowach i grzbietach, mówiąc:

— Odpocznijcie sobie. Psia góra!

Woźnica mój, chcąc rozszerzyć sobie przejazd, zawołał:

— Na prawo!

— A to włóż jarzmo i ściągnij na prawo — ofuknął go młodszy. Patrzcie go, jaki chwat z morskiej piany!

Miał słuszność, broniąc zmęczonych bydląt, ale mój furman odparł:

— Muszą być *frajcuzy* — delikatne.

Odpłacono mu za tę uwagę radą, której powtórzyć nie mogę.

Wydostaliśmy się wreszcie na szosę. Wlokły się po obu jej stronach ciężkie bryki i wozy w kierunku miasta. Pod stacyą kolei uwięźliśmy między nimi a zwłaszcza jedna fura tarcic, ciągniona przez woły, zagrodziła nam drogę. Śród wzajemnych wymysłów utorowano wreszcie przesmyk, którym mieliśmy przemknąć. Podrażniony wszakże mój Łukasz zaciął batem w prze-

piej uwidoczniłby „nieparlamentaryzm“ gabinetu, co ma stanowić jego najgłówniejszą zaletę. Pomimo wszelkich waśni i kłótni narodowościowych najwięcej dokucza ołowiane ciążenie obecnego ministerstwa w kierunku ekonomicznym, co obecnie przy rokowaniach ugodowych z Węgrami występuje na jaw rażąco.

Cło od nafty a właściwie oszukańcze przemycanie kaukaskiego oleju skalnego, co węgrom wychodzi na pożytek, stanowi oś, około której wiruje cała sprawa ugodowa. Niemcy ujęli się pod tym względem za krzywdę galicyjską, a rodak-minister miał serce zatwardziałe, dopóki wulkan opozycyi w Kole polskim nie zaczął buchać lawą a kłęby dymu nie zaciemniły widnokręgu. Góra urodziła mysz — mianowicie wniosek p. Grocholskiego, ustanawiający cło od przywożonej z zagranicy surowej nafty na dwa guldeny, których oburącz chwycił się p. Dunajewski, ażeby połatać, jeżeli już tak być musi, nadwyrężony galicyjski przemysł naftowy i ratować, co najgłówniejsza, położenie polityczne, wykolejone w straszliwy sposób przez wniosek Suessa, mogący jedynie zapobiedz całej tej nędzy ekonomicznej. Teraz chroma sprawa na wniosku Grocholskiego, na którym p. Dunajewski, nie mogąc inaczej, obstaje wobec węgrów; ci jednak o podwyższeniu cła od surowca nic słyszeć nie chcą.

Czemu p. Dunajewski tak się śpieszył z podkopaniem galicyjskiego nafciarstwa i uprawnieniem oszustwa przemytniczego — trudno zaiste zrozumieć. Węgrzy trzymają go teraz za słowo, a wszelki jego opór, po niewczasie, nie waży nic na szali. Owszem węgrzy lekceważą sobie opozycyę rządu austryackiego, co najlepiej uwydatniło się w fakcie, że nowe propozycye ugodowe, przysłane z Wiednia, „przyjęli do wiadomości,“ składając je bez ceremonii do kosza. Natomiast organ przyboczny p. Tiszy *Pester Llyoyd* mówi o „z obowiązaniach“ rządu austryackiego, to znaczy, że nie zwalnia on go z danego słowa, wyrażając się zarazem lekceważąco o większości parlamentu austryackiego. Dziennik węgierski, widząc tylko w tej większości, bynajmniej zaś nie w rządzie, przyczynę przeszkód, daje radę hr. Taaffemu, żeby za jej plecami przy pomocy lewicy przeprowadził ugodę do skutku. Węgrzy więc wyciągają teraz rękę do opozycyi niemieckiej, chcąc tym sposobem wywrzeć nacisk na prawicę. Tymczasem *Deutsche Zeitung* daje im szorstką odprawę, oburzając się, że śmią wogóle wciągać niemiecką opozycyę do współdziałania przy oszustwie przemytniczem. Odprawa ta niezawodnie sprawi odpowiednie wrażenie. Na jaki nowy pomysł wpadną węgrzy— nie wiadomo, jako też — co dalej poczną. Wtajemniczeni zapewniają, że wysokość cła od surowej nafty nie tworzy różnicy pomiędzy obu rządami, że pod tym względem może łatwo przyjść do obopólnego porozumienia. Przeszkodą ma być jedynie żądanie p. Dunajewskiego, ażeby rząd węgierski położył kres przemycaniu rafinowanej, sztucznie zaprawionej nafty zagranicznej za opłatą od surowca, na co p. Tisza zgodzić się nie chce, gdyż właśnie z kontrabandy węgierski skarb państwowy i węgierskie rafinerye ciągną znaczne zyski. Można i ustęp o austryackiej wewnętrznej polityce zakończyć pytaniem: co z tego będzie? czy ostatecznie zwycięży etyka czy przemytnictwo?

Podczas kiedy w węgierskim parlamencie zajmują się bardzo żywo sprawami polityki zagranicznej, austryacki, zwołany na dzień 29 b. m., dźwigać będzie wyłącznie krzyż męki naftowej, z czego niezawodnie wywiążą się ważne kwestye polityczne a może nawet i przesilenia. Prawica znajduje się chwilowo prawie w rozsypce. Niemieccy klerykaliści stracili swego przywódcę w osobie księcia Alfreda Lichtensteina, który złożył mandat poselski; w łonie tego stronnictwa wybuchły nadto waśnie i rozterki tak dalece, że ono prawdopodobnie przestanie istnieć jako osobny klub parlamentarny. Jedna część pójdzie za Lienbacherem „dziecięcą,“ druga przyłączy się do klubu Hohenwartha, przez co ten nabierze barwy klerykalnej. Stosunki polsko-czeskie uległy także pewnemu naprężeniu, wszczególności zaś pogorszył się stosunek czechów do rządu, z powodu, że posunęli się zanadto w opozycyi przeciwko ugodzie, mianowicie co do żądań swych w sprawie bankowej i podatku cukrowego.

W Kole polskiem starcia są także nieuniknione. Opozycya jego podnosi śmielej głowę przeciw przybocznej gwardyi p. Grocholskiego, czyli stronnictwu rządowemu, mając za sobą przeważną część galicyjskich wyborców i prasy. Prawdopodobnem jest, że będzie ona musiała na razie zadowolnić się tylko moralnem zwycięztwem, gdyż odłam rządowy zawsze jeszcze góruje w Kole polskiem, pomimo że po przeciwnej stronie stanęło kilku nowo wybranych posłów i część t. z. „ateńczyków“ pod wodzą hr. Wojciecha Dzieduszyckiego.

Położenie wcale niepocieszające, skoro w wigilię rozpoczęcia sesyi nie wiadomo nawet, na jakiej większości rząd opierać się będzie, co znowu ma swoją specyalną przyczynę, wynikającą głównie z postępowania jego podczas feryj parlamentarnych. Rząd zaczyna się przechylać stanowczo ku lewicy, lecz dotyczas miłość jego nieznajduje wzajemności.

Dlatego sądzimy, że wszelkie rachuby hr. Taaffego na poparcie ze strony umiarkowanych jej żywiołów pozostaną tylko płonnem życzeniem.

Ta mylna rachuba stanowi także charakterystyczny rys położenia.

S.

TYDZIEŃ POLITYCZNY.

Sprawy bułgarskie wciąż jeszcze zajmują plan pierwszy w polityce. Jeżeli wierzyć można doniesieniom niektórych gazet rosyjskich, to w łonie regencyi wybuchły niesnaski; Stambułow i Mutkurow pragną pozbyć się Karawełowa, który okazuje usposobienie pojednawcze względem Rosyi. Członkowie rządu tymczasowego spodziewali się mieć znaczną większość w zgromadzeniu narodowem, do którego właśnie rozpoczęto wybory, bo nawet okręgi, wysyłające dotychczas posłów opozycyjnych, wybrać mają teraz t. z. „battenberczyków.“ Przyjazd generała Kaulbarsa i nota, jaką wręczył rządowi bułgarskiemu, wpłyną jednak bezwątpienia na przebieg wypadków. Nota głosi, że Najjaśniejszy Pan słyszał dotychczas słowa, teraz chce widzieć fakty, dlatego postępowanie bułgarów względem Rosyi winno uledz stanowczej zmianie. Trzeba przejąć się myślą, że książę Aleksander nie wróci nigdy do Sofii. Wybory do zgromadzenia należy odroczyć na dwa miesiące i pozostawić wszystkim stronnictwom wolność działa-

---

jeździe najmniej winne woły. Właściciel ich ryknął, skoczył ku nam, za nim pośpieszyli jego towarzysze, a ponieważ przed zamkniętą rogatką kolejową musieliśmy stanąć, rozpoczęła się bijatyka, z której Łukasz wyszedł mocno poturbowany. Walce tej woły przypatrywały się z angielskim spokojem.

Skutkiem zajęcia linii głównej pociąg nasz zatrzymano nieco przed dworcem. Na sąsiednich szynach z kilku wagonów wyładowywano wielkie ukraińskie woły, które miały zginąć w żołądku stolicy.

Złym jest człowiek—według pewnej autorki angielskiej — którego nie wzrusza widok zżółkłych liści jesiennych; gorszym jest według mnie ten, którego nie wzrusza widok płowych, opiętnowanych, na rzeź pędzonych wołów. Czy kiedykolwiek przypatrzyłeś się im czytelniku? Jak smutnie spoglądają ich duże, bolesnem przeczuciem zaćmione oczy! Boki zapadłe, skóra wypalonymi stęplami poznaczona, w całej postaci rozlana niema rozpacz, dźwigają swe mięso na ofiarę człowiekowi, który nie zna dla nich litości. Ile razy przechodzę koło gromadki tych płowych skazańców, wiedzionych na śmierć, serce ściska mi się strasznym kurczem.

Wyprowadzone z wagonu obejrzały się wokoło: jedne wąchały ziemię, drugie szukały na niej źdźbła pożywnego, inne wsłuchiwały się w gwar miejski, inne nareszcie spoglądały w górę, jak gdyby badając, czy to samo niebo nad nimi sklepione. We wszystkich odbijało się odurzenie, niemoc, rezygnacya. Ze stepów, ze swobody, z traw wonnych i czystego powietrza, przeniesiono je w odmęt piekielny, gdzie węszą krew.

— I to one w drodze nie jedzą? — zapytał służący kolejowy.

— Szlamują sobie kiszki — odrzekł odbiorca „towaru.“

— Choćby im wody trochę...

— Może sodowej... Prędzej tam, nie bałamucić, bo przed czwartą muszą być w szlachtuzie.

— Pierwsza partya już poszła.

— Potrzebne wszystkie— zakończył odbiorca.

Odszedłem od okna — w tej chwili pociąg podsunął się pod dworzec.

Z nieprzyjemnem wrażeniem wsiadłem do dorożki, odpędzając z myśli mary nieszczęśliwe. Czy człowiek wiecznie karmić się będzie cudzem życiem? Czy on nie wynajdzie sposobów istnienia bez morderstwa? Czy ta konieczność natury nigdy się nie złamie? I ja za chwilę jeść będę pieczeń z tych samych istot, których niedola tak mnie rozrzewnia. Co tu właściwie jest słusznem: moje współczucie, czy apetyt?

Na moście zakotłowały się wrzaski: jakaś przeszkoda zatamowała przejazd. Jeszcze nie zdążyłem zbadać przyczyny, gdy dorożka wjechała ze mną w gromadę płowych wołów. Powiązane za rogi parami, tłoczyły się i rzucały między powozami, a wściekły czeladnik rzeźnicki, w niebieskim fartuchu i zatłuszczonym kaftanie, smagał je niemiłosiernie skręconym w kilkoro postronkiem. Jednocześnie z każdego kozła spadały im na grzbiety bicze, od których skóra się pręgowała. Nareszcie utorowano drogę. Mój dorożkarz miał już wolną, mijając wszakże woły, ciął jednego z nich tak mocno batem, że aż biednemu stworzeniu z oka wyciekł krwawy wężyk.

— I za co go bijesz?—zawołałem wzburzony.

— To na rzeź, panie.

Cały w tej odpowiedzi systemat. Co ma prawo do życia — to zostaje pod osłoną wszystkich naszych uczuć; co na rzeź przeznaczone, zasługuje tylko na okrucieństwo. Chłopiec źle zrobił, postraszywszy pasące się byczki, woźnica oberwał po karku za uderzenie wołów, ciągnących wóz, ale te płowe mięsa wolno ćwiczyć dla rozrywki. Na koźle dorożki siedział prawdziwy — Pindter...

W. O.

nia, dlatego prześladowanie oficerów, którzy należeli do spisku przeciw księciu, musi być zaniechanem. W przemowie do członków rządu generał Kaulbars zganił również surowo spalenie sztandarów, zwłaszcza, że zniszczono oznaki orderu św. Jerzego, jakiemi były ozdobione.

Dotyczasowe depesze donoszą, że rząd bułgarski uchyla się od spełnienia żądań Rosyi. Na drugi dzień po wręczeniu noty w Sofii rozlepiono plakaty, zawierające ogłoszenie o wyborach i program narad. Wzburzenie pomiędzy ludnością wzrasta. Słowem stosunki zaostrzyły się tak, że rozwiązanie wątpliwości wkrótce już nastąpić musi.

Mocarstwa pogodziły się, chcąc niechcąc, z polityką rosyjską, nawet Anglia dała już za wygranę, przynajmniej mowa tronowa uznaje fakt dokonany.

Dotychczas najgłośniej krzyczą przeciw temu faktowi madziary. W parlamencie węgierskim interpelacye sypią się jedna za drugą, wnoszą je przedstawiciele różnych stronnictw, Tisza zaś zwleka z odpowiedzią. Dzienniki głośno mówią o usunięciu Kalnokego, którego najcięższe ciosy czekają dopiero w delegacyach. Rozprawiają nawet o zupełnej zmianie osób, sterujących polityką austryacką i o zwrocie jej, zwłaszcza że i stanowisko Taaffego jest zachwianem. Węgry niechcą się zgodzić na podwyższenie cła od nafty, uchwalone przez Radę państwa wiedeńską, jeżeli więc porozumienie nie dojdzie do skutku, Taaffe i Dunajewski będą musieli złożyć teki. Istnieje również myśl rozwiązania Rady państwa, gdyż prawica rozbiła się na wiele odłamów, pomiędzy którymi wystąpują coraz dobitniej różnice poglądów i rośnie niezadowolenie wzajemne.

Parlament angielski odroczony został do 11 listopada, na ostatnim posiedzeniu odrzucił on bil Parnella w sprawie czynszowników irlandzkich. Rząd jednak utworzył specyalną komisyę, która zbadać ma na miejscu stan rzeczy i obmyśleć środki zaradcze. Wzburzenie umysłów w Irlandyi trwa ciągle, w Belfascie powtórzyły się znowu rozruchy uliczne, które dopiero na drugi dzień zostały stłumione.

W Neapolu podczas obchodu rocznicy przyłączenia Rzymu przyszło do gwałtownego starcia pomiędzy stowarzyszeniami liberalnemi, które święciły publicznie tę uroczystość narodową i klerykałami. Ci ostatni, zebrawszy się w liczne bandy, kilkakrotnie napadali na pochód, krzycząc: „niech żyje papież-król!“ Z tego powodu wszczęła się zacięta bójka, którą uśmierzyły dopiero policya i wojsko, rozpędzając obie strony walczące.

Rząd francuski dokłada wszelkich starań w celu nawiązania stosunków dyplomatycznych z Rosyą, które nie zerwane wprawdzie, ale milcząco zawieszone zostały. W Petersburgu nie ma dzisiaj wcale posła francuskiego. Ministeryum Freycineta będzie miało nowy kłopot z Madagaskarem, niewiadomo dokładnie, co tam zaszło, ale rząd przygotowuje nową wyprawę wojenną.

Powstanie wojskowe w Madrycie zostało stłumione, rokoszanie poddali się władzy. Nie lepiej powiodło się karlistom w Barcelonie.

SPRAWY EKONOMICZNE.

Z FRANCYI.

Paryż, 15 września.

La mine aux mineurs. Projekt bezinteresownego odstąpienia kopalni węgla Rive de Gier syndykatowi robotników górniczych.

W czasie długotrwałej zmowy górników w Decazeville, zmowy, która w pierwszej połowie roku bieżącego mocno zajmowała we Francyi opinię i sfery parlamentarne, podnoszono niejednokrotnie hasło: „kopalnie dla kopiących.“ Powiadano wówczas, że obecni właściciele bogactw kopalnianych są tylko warunkowymi ich posiadaczami, prawodawstwo bowiem górnicze, pochodzące z początku wieku bieżącego, wyraźnie zastrzegło zwierzchnią własność państwa odnośnie do zapasów, które natura nagromadziła we wnętrzu ziemi. Jest to zresztą zasada, przyjęta przez prawodawstwo górnicze wszystkich krajów— a nie trudno byłoby nawet bronić akademickiej tezy, że bezwzględna własność prywatna, jako taka, nigdy przez żadne prawodawstwo nie była przyznawana. Co się tyczy francuskiego górnictwa, to prawo określiło szczegółowo: kiedy i w jakich warunkach państwo cofnąć może czasowe prawo wyzyskiwania bogactw kopalnianych. Może to mianowicie nastąpić wtedy, jeżeli sposób prowadzenia kopalni sprzeciwia się interesowi publicznemu. Jest to oczywiście zasada ogólna, której zastosowanie w każdym pojedynczym wypadku podlega rozbiorowi. W ten sposób argumentowali ci, co podczas zmowy w Decazeville domagali się oddania kopalni w posiadanie syndykatu robotników górniczych. Podnoszono zresztą raczej zasadę samą, dla wywarcia nacisku na zarząd kopalni, cząstkowe bowiem przeprowadzenie takiej reformy napotkałoby na wielkie trudności; wiedziano nadto, iż rząd nie miał bynajmniej ochoty dokonać podobnego przeniesienia własności.

W początku jednak bieżącego miesiąca zaszedł fakt, który postawił próbę oddania kopalni górnikom na porządek dzienny. Zdarzyło się mianowicie, że towarzystwo kopalni węgla w Rive de Gier nad Loarą odstępuje bezpłatnie syndykatowi górniczemu eksploatacyę węgla... próba więc gotowa. Gotowość i bezinteresowność towarzystwa iście bezprzykładna i byłaby zadziwiającą, gdyby się nie tłomaczyła w sposób nader prosty. Inicyatywa zresztą wspaniałomyślnej tej ofiary nie wyszła z łona przedstawicielstwa kopalni. Powziął ją inżynier rządowy, poseł Laur, który dał się już poznać podczas zmowy decazeville'skiej. Prefekt miejscowy poparł tę myśl, a zarząd kopalni nie sprzeciwiał się jej zbytecznie, z uwagi, że kopalnie, mające być przedmiotem bezinteresownego odstąpienia, nie są obecnie eksploatowane, ponieważ eksploatacya ich przestała się opłacać... Postępowanie projektodawców w tej sprawie było najzupełniej legalne: kopalnie zapuszczono, wstrzymano pompy, wydobywające wodę z szybów, dozoru zaniedbano, a to są właśnie wypadki, w których prawo nakazuje usunięcie niedbałego posiadacza od własności. Prefekt tedy zagroził towarzystwu skutkami prawa; poseł Laur, dla zrobienia sobie rozgłosu, czy wykazania dobrych chęci, projekt zaagitował, a ustąpienie kompanii postawiło otworem projekt na nogi. Dziś pozostaje tylko oczekiwać na ostateczną sankcyę w tej sprawie; zarząd przytem kopalni w Rive de Gier zastrzegł sobie zatwierdzenie swego postawienia przez walne zgromadzenie akcyonaryuszów kopalni, co podobno wątpliwości nie ulega.

Towarzystwo kopalni w Rive de Gier należy do grupy czterech wielkich kompanij, które eksploatują z powodzeniem trzy inne kopalnie: mines de Montrambert, de St. Etienne i de la Loire. Kopalnia w Rive nie opłacała się należycie. W r. 1883 nie dała żadnej dywidendy, w roku zaś zeszłym tylko po 3 fr. na akcyę. Akcye te na giełdzie lyońskiej stały po 18 do 20 fr. W tych warunkach towarzystwo skorzystało z wybornego pretekstu do pozbycia się ciężaru, a w dodatku nadarzyła się sposobność do zrobienia próby z oddaniem kopalni syndykatowi w najgorszych warunkach. Musiał się zarząd kopalni grubo śmiać, ustępując tak łatwo socyalnym roszczeniom szan. posła i górników. Jeżeli bowiem zasobna kompania uważała wyzyskiwanie kopalni za nieopłacające się — to cóż poczenie na jej miejscu syndykat górniczy, nie posiadający odpowiednich kapitałów do prowadzenia przedsiębiorstwa, odpowiedniej organizacyi i nawyknienia, otoczony zewsząd nieprzychylną dłań formą produkcyi i biorący się do dzieła, które z góry obliczone jest na straty.

W takich warunkach można zrobić tylko nieudałą próbę, którą będzie można następnie kłuć oczy wszystkim zwolennikom tego przeniesienia własności, jak kłuto aż do znudzenia „narodowymi warsztatami“ Ludwika Blanca.

Mimo to wzięto się już do rzeczy. Syndykat, w oczekiwaniu ostatecznych zatwierdzeń swych nowych praw, wszedł już, za zgodą zarządu kopalni, w jej posiadanie, oraz upoważnił posła Laura do ogłoszenia konkursu „w sprawie organizacyi kopalni, posiadanej przez syndykat zawodowy robotników górniczych.“ Termin ostateczny konkursu, ogłoszonego tylko na przeciąg dni piętnastu, upływa właśnie. Inżynier Laur zapewnia, że z przedsiębranych przezeń poszukiwań, z polecenia syndykatu, wypływa, iż w dwunastu miejscowościach, w których dobywano już węgiel, znajduje się go jeszcze 1,305,000 tonn, niezależnie od odkryć, które można będzie jeszcze poczynić.

Nie jesteśmy dokładnie poinformowani o pobudkach, które skłoniły zarząd kopalni w Rive de Gier do rzucenia ze swego stołu tej kości, o którą mają się pogryźć zgłodniali górnicy i żądni rozgłosu polityczy. Kto wie jednak, czyby, na złość nawet ofiarodawcom, próba nie udała się, gdyby rząd przyszedł ze skuteczną pomocą syndykatowi, który rozpoczynając tak nowy i trudny eksperyment socyologiczny, potrzebuje jej niewątpliwie. Niema atoli widoków, ażeby ta pomoc rządowa była więcej niż platoniczną — przewidzieć tedy można, że eksperyment nie uda się ku wielkiej uciesze nieprzyjaciół hasła: *la mine aux mineurs*. Niespodziewane atoli, awaturnicze i z góry obliczone na *fiasco* próby, przesądzać nie mogą sprawy reformy francuskiego górnictwa. Sama już ta próba, chociażby była jaknajbardziej niefortunną, przypomina, że sprawa ta nie schodzi z porządku dziennego.

P.

BADANIA NAUKOWE.

HISTORYA.

PUŁAWY.

II.

Egzaltacya księżny, dążność liberalna księcia, pozbawiona śmiesznej dumy, sięgały czasem nawet poza pojęcia kastowe— aż do ludu i włościan. Księżna, wraz z córką Maryą, leczy i uczy dziatwę wiejską, zakłada ochrony, szkółki, szpitale, odwiedza chaty, sadzi przy nich ogrody i pisze dla nich książki.

Książę rozpisuje do rządców kwestonaryusz, jakie ulgi można przeprowadzić dla poddanych, jeden z pierwszych w kraju przed wielkim sejmem podejmuje myśl— i w części ją przeprowadza — stopniowej zamiany pańszczyzny na czynsze, potem zakłada na próbę w gminach dóbr puławskich kasy pożyczkowe dla włościan. Zbliżenie się to do ludu nie było naśladownictwem francuskiej rewolucyi, której krwawe sceny „wzbudzały odrazę“ w Puławach; ale ta dążność i ten nastrój nieco

sentymentalny, lubo podniosły i zacny, były dalszym ciągiem kierunku, jaki się zaznaczył w zasadach społecznych na wielkim sejmie, w objawach literatury, w całem usposobieniu współczesnem. Starano się wówczas „lud podnieść ku wyższym warstwom.“ Nie ma pieśni i książki, natchnionej w Puławach, w którejby nie odzywała się ta struna. Chłopek, zupełnie pomijany dotąd w literaturze naszej, występuje w „Świątyni Sybilli.“ Woronicza, jako „przyszły dziedzic wielkości narodu i mściciel jego krzywd,“ widzimy go w dziełach Karpińskiego, Kniaźnina, Niemcewicza, nawet na obrazach Stachowicza. Gdy o tę strunę ludową trącił Kościuszko pałaszem i wywołał echo w dźwięku kos — ziścił on to, co się w Puławach snuło marzeniem. Prawda, że lud pokazywał się na pańskim dworze, jako dodatek uroczystej scenery, nawet wtedy, gdy książe Jabłonowski darzy wolnością i wianem nowożeńców lub ks. Sanguszko zasiada poufale w kole ulubionych i wiernych kozaków granowskich, gwarząc i pobudzając ich do śpiewu i tańca. Ale choć w tem wszystkiem było tło sielanki pseudo-klasycznej z dekoracyą w stylu *rococo*, motywy rodzinne i ludowe odbijały się żywo w sercach, jakby przeczuciem nowej doby. Puławy to polskie Ateny, albo przynajmniej polski Wejmar, przybierający postać akademii. Trzy generacye wyszły z tej szkoły, a długo, do niedawna jeszcze poznawano wychowańców Puław, lub tych, co się o nie otarli. Znamionowała ich bowiem odrębna cecha. Trzy tu składały się pierwiastki: światowość, patryotyzm i zamiłowanie do literatury. Wychodzili stąd ludzie pióra, oręża i salonu. Kultura puławska rozszerza po kraju owe odrębne typy grzeczności i galanteryi rycerskiej. Wychowują się tu obok synów wielkich rodów, jak Sapiehowie i Radziwiłłowie, synowie plenipotentów dóbr, młodzież biedna, sieroty, ubogie szlachcianki. Była tu edukacya najświetniejsza, jaką młodzieniec i panna wówczas otrzymać mogli, wejście w „najpiękniejszy świat“ zarazem, a że czasy to sentymentalne, więc przy „festynach“ w pałacu powstają „afekta,“ kończące się zwykle małżeństwem.

Od przesiedlenia się książąt z Warszawy na stałe mieszkanie do Puław (1784) aż po pierwsze zniszczenie (1794)—to pierwszy okres ich rozwoju. Właściwa „epoka puławska“ rozpoczyna się dopiero po upadku Rzeczypolitej. Społeczne, literackie i polityczne znaczenie Puław rozkwita i potęguje się teraz, a gdy Warszawa i Kraków, stolice dawnej Polski, przechodzą z rąk do rąk, znajdują tam punkt zborny ci, którzy „przeszłości nie zapomnieli, a przyszłości się nie wyrzekli.“ W okresie legionów napoleońskich bywały Puławy niejednokrotnie widownią ważnych w dziejach narodu zdarzeń, bądź to podczas wojny, ulegając rabunkom, zniszczeniom, przechodom wojsk nieprzyjacielskich lub przyjęciu polskich, bądź też jako miejsce zjazdów i odwiedzin monarszych. Były one wtedy tłem, na którem roztaczały się te pełne dramatyczności przejścia i wstrząśnienia, nie bez złudnych nadziei, po których miała nastąpić doba ciszy, wypoczynku i wewnętrznego skupienia.

Wówczas powstała w Puławach myśl zbierania pamiątek i utworzenia z nich wielkiego obrazu przeszłości. Zniszczenia rewolucyi francuskiej zbudziły ten ogólny popęd do ratowania i pamiątkowego gromadzenia tego, co ocalało. U nas dążność ta odpowiadała uczuciom patryotycznym, bo przeszłość stawała się wszystkiem, gdy życie narodu zamierało. Umiłowanie zabytków i ducha przeszłości było wtedy jedyną rękojmią przyszłości. Księżna daje pierwsza ku temu pobudkę do gromadzenia pamiątek, dotąd nieszanowanych, a puławska „Świątynia Sybilli“ staniesię kolebką polskiej archeologii. Wszelako pobudka ta, jak cały charakter owych zbiorów, jest przeważnie uczuciowy. Nie pytano, czy przedmiot jest ściśle autentyczny i jaką ma artystyczną wartość—ale czy ma urok. W muzeach puławskich odróżnić też trzeba to, co założyciele sami nabywali, od tego, co przyjmowali z darów. W pierwszym dziale znajdziemy prawdziwe perły w obrazach, rzeźbach, przedmiotach muzealnych i bibliotecznych, z drugiego źródła przybyło wiele rzeczy bez wartości, ofiarowanych i przyjętych z sentymentu ówczesnego. Książe generał żartował sobie nieraz z tych podarunków i pamiątek, mających przypominać wszystkie postacie historyczne.

Dworzanie puławscy opowiadali anegdotę, jak przywołał kozaka, kazał mu zzuć but, przylepił kartkę „but Dżengishana“ i przesłał go żonie do „Świątyni Sybilli.“ Na współczesnych jednak wywierały swój wpływ te zabytki, przemawiając do uczucia, budząc cześć przeszłości. Służyły one za temat do objaśnień historycznych, pobudzały do znajomości dziejów ojczystych, a nieraz stawały się podnietą dla natchnienia poetów. Przez „Świątynię Sybilli“ i „Domek gotycki“ przesunęło się całe pokolenie ludzi, co stąd wynieśli głębokie na całe życie wrażenie i odrębny kierunek.

Była to epoka „sztambuchów,“ które Puławy na całą Polskę rozszerzyły i które przeciągnęły się jeszcze do epoki Mickiewicza. Wzorowały się one według księgi, noszącej nazwę „Rezonowanego katalogu świątyni Sybilli“ Fundatorka jej żądała od każdego z przybywających, a mającego rozgłos literacki, rozprawy na temat jednej z pamiątek. Przeznaczeniem tej księgi było, aby powoli na tle zabytków tu zgromadzonych utworzył się jakby rodzaj encyklopedyi rzeczy polskich, w którejby każda postać z historyi i literatury naszej znalazła swą monografię. Myśl piękna, w części tylko została uwieńczona skutkiem, a zamiast monografii spotykamy tu najczęściej wylew uczuć i myśli zwróconych ku ojczyźnie, a składanych w hołdzie kapłance przybytku. Obok tej księgi prozy było drugi album, przeznaczony na poezye, zapisany przez pierwszych poetów współczesnych, bezpośrednio lub pośrednio złączonych z Puławami. Największy urok otaczał „Świątynię Sybilli,“ mieszczącą w sobie, jak wspomniałem, obok skarbów sztuk i nauk, sentymentalne pamiątki, jak np. trawki z grobu Fingala, albo pantofle pani Maintenon, obok cennych i prawdziwych przedmiotów także legendowe, jak np. owa strzała, którą Tell strącić miał jabłko z głowy syna! W tej manii posuwano się tak dalece, że wbrew sentymentalizmowi owych czasów wydobywano kości sławnych mężów z trumien na to, aby je umieścić jako przedmiot gabinetowy dla ciekawości zwiedzających, niby relikwie świętych w kościele. Wychodząc z tej zasady sprowadzono do „Świątyni Sybilli“ głowę Kochanowskiego, kawałek kości Kopernika itp. Gromadzenie tu jednej cegły z historycznej budowli, tam kawałka muru z słynnego pomnika — „aby nie brakło żadnej narodowej pamiątki“ na ścianach „Domku gotyckiego“ zaliczyć należy do tych przewinień, które tylko intencya i pojęcia współczesne usprawiedliwić mogą. Zbieranina puławska zyskała względność za daleko sięgającą u duchowieństwa, zwłaszcza biskupa Woronicza, ale była ona stokroć lepszą, niż niszczenie i przerabianie dzieł sztuki w kościołach. Kiedy np. wnoszono barokowy pomnik dla biskupa Sołtyka, wyrzucono wspaniałe sarkofagi Jagiełły i Kaźmierza Jagiellończyka, dzieło Wita Stwosza ze środka kościoła, aby je schować, jako rażący zabytek czasów barbarzyńskich w kątach kaplicy! Puławy były jedynem miejscem w Polsce, gdzie wielką cenę przywiązywano do zabytków przeszłości bez względu na epokę i styl. Czyliż się wobec tego dziwić można, że odsyłano tam chętnie to, co gdzieindziej uległo zagładzie!

Przez słabość książąt w wiązaniu każdego przedmiotu z jakiemś imieniem albo wypadkiem historycznym, dostało się tu wiele fałszywych, albo przynajmniej niewiarogodnych rzeczy, natomiast świadczą zbiory te o pewnej wszechstronności, która wbrew uprzedzeniu pseudo-klasyków warszawskich dozwala w Puławach stawiać obok zabytków starożytnych, mające już woń romantyzmu. W kolekcyi pamiątkowej przeważa tu już zwrot do średnich wieków, zacząwszy od samej budowli „Domku gotyckiego.“

Wartość naukowo-artystycznych i biblioteczno-archiwalnych zbiorów mierzy się praktycznymi ich rezultatami, o ile oddziaływały na stopień cywilizacyjny społeczeństwa i pobudziły jego produkcyjność umysłową. Zadanie to spełniły Puławy w zupełności. Każda tarcza pamiątkowa, zawieszona w sali „Świątyni Sybilli,“ każdy kamień z historycznych budowli, wmurowany w ścianę „Domku gotyckiego“ — rzec można bez przesady — dał pobudkę bądź do pracy historykom, bądź do twórczych natchnień poetom. Jak mury świątyni obrosły z zewnątrz mchem i powojem, tak ją umaiła i dokoła oplatała ta rozbudzona wegetacya literackich płodów.

Można twierdzić stanowczo, że Puławy tworzą osobny okres naszej cywilizacyi, dający wszystkiemu właściwy sobie ton i woń — od *Pielgrzyma w Dobromilu*, fundatorki tej świątyni, aż do *Śpiewów historycznych*, będących niejako ilustracyą tu nagromadzonych pamiątek narodowych. W beletrystyce a zwłaszcza w poezyi szkoła puławska odróżnia się równie dobitnie od warszawskiego obozu klasyków jak od romantyków wileńskich swym patryotycznym wyłącznie nastrojem.

B.

LITERATURA I SZTUKA.

Z NIEMIEC.

Drezno, 1886, wrzesień.

Rzut oka na dzieje piśmiennictwa żydowskiego. — Nowe dzieło G. Karpelesa. — Budyszyn i ślązaczki. — Altenburczycy, dawni słowianie. — Nowsze badania nad hetejczykami. — Nowości książkowe: Studya Legera. Simona, cesarz Wilhelm. Reinholdta, Dzieje piśmiennictwa rosyjskiego. Dziejopis przyszłości o wojnie r. 1890. — Halka w Pradze. — Patryotyzm i gotowizna.

Przebieg dziejowy umysłowości żydowskiej przedstawia jedyne w swoim rodzaju widowisko: tworzy nasamprzód ziarno — biblia, treść wielowiekowej pracy narodu, skupiająca w sobie wszystkie utwory wszelkich kierunków ducha, od przepisów moralnych do najdrobniejszych przepisów zdrowotnych i kuchennych, od hymnów do Boga do najgorętszych madrygałów, od klechd i bajań do dziejów prawdziwych. Że to ziarno pierwotne składało się powoli, z najdrobniejszych żywiołów i w ciągu bardzo długiego czasu, o tem przekonywa najnowsza krytyka teologiczna (np. Reuss w znakomitem swem dziele *L'histoire sainte et la loi*); nie wchodząc w rozbiór pytania, jak to pierwsze jądro literatury żydowskiej powstało, zwróćmy tylko uwagę, że w tej zaokrąglonej całości, w jakiej je posiadamy, jest ono jedyną w swoim rodzaju encyklopedyą i esencyą umysłowości jednego z najstarszych na świecie narodów.

Jedyny też w swoim rodzaju jest dalszy przebieg piśmiennictwa żydowskiego. Biblia pozostaje w niem i nadal jądrem jedynem; cała praca umysłowa dalszych pokoleń żydów sprowadza się do zataczania

koło niej kręgów współśrodkowych. Piszą się objaśnienia do Biblii; potem objaśnienia do tych objaśnień; dalej objaśnienia do tych objaśnień i tak ciągle, przez lat przeszło tysiąc, aż do naszych czasów; tą drogą powstają Midrasze, Talmudy, Miszny i wszystkie owe dziwnie brzmiące wyjaśnienia wyjaśnień, glosy glos... Lecz wśród tej roboty na pozór bezdusznej i mechanicznej, duch pracowników rozwija się i potęguje, ulega wpływom postępu nauki na całym świecie i suchą pracę komentatorską przetwarza na źródło natchnienia poetycznego i rzutów filozoficznych. Drobny szczegół egzegietyczny wyrasta na obszerną monografię; nuta psalmu lub pieśni nad pieśniami zachęca do twórczości dalszej; ponura filozofia Koheletu daje popęd do zacieków etycznych i metafizycznych; przepisy zdrowotne podniecają do badań przyrodniczych i lekarskich. Zakwita świetny okres poezyi hebrajskiej w Hiszpanii, występuje cały szereg lekarzy i przyrodników, myślicieli i starożytników żydowskich, współubiegających się z arabskimi, górujących nad scholastykami Europy.

Z Biblii więc, jak planety z obrotu pierwotwórczej masy kosmicznej, wydzielają się, odosobniają i w samoistne bryły tężeją wszystkie kunszta i nauki, któremi tylu żydów się odznaczyło przez ciąg dwóch tysięcy lat ostatnich.

Myśli te nasunęło mi niedawno ogłoszone dwutomowe dzieło znanego u nas dobrze przyjaciela naszego p. Gustawa Karpelesa *), powitane największemi pochwałami krytyki niemieckiej. Obejmuje ono jednolitym obrazem cały przebieg żywota umysłowego żydów, aż po nasze czasy. napisane jest zajmująco, a przytem krytycznie i z podziwu godną znajomością monografij dotyczących.

Zdaje mi się, że obowiązkiem jest żydów polskich jaknajprędzej przyswoić pracę tę piśmiennictwu naszemu, nietylko z powodu interesu plemiennego, ale, co ważniejsza, z przyczyny znanego wpływu, który literatura żydowska, szczególnie początkowa i średniowieczna, wywierała na umysłowość europejską, a w rzędzie tym i na naszą. Ile Biblia hebrajska podziałała na język nasz i cały nasz bieg myśli, tego jeszcze dokładnie u nas nie oceniono; mnie się zdaje, że wpływ jej był ogromny.

Żydzi upodobniają się z czasem do narodów, wśród których mieszkają, o tem nie wątpię; piśmiennictwo hebrajskie stanie się zabytkiem tylko i pomnikiem, dostępnym niewielu wtajemniczonym; otóż dzieło p. Karpelesa stanowić będzie klucz do tego cennego muzeum; bez poznania skarbów jego ciąg cywilizacyi ludzkiej zostanie zagadką.

Plemiona nikną lub się przeradzają, myśl tylko ludzka snuje się nieprzerwanem pasmem, nie pytając, kto z jakiej krwi pochodzi i jakim mówi językiem. Tu, na ziemi saskiej, depczemy groby braci naszych słowiańskich. Dobrze ktoś powiedział, że cały ten kraj, o mil kilkadziesiąt na wschód i zachód Elby, jest wielkiem cmentarzyskiem słowian. Cóż po nich zostało? Smutne wspomnienia dziejowe i tysiące nazwisk wsi, pól i lasów. Tam, nieco na wschód, żyje jeszcze garstka łużyczan, nie mająca wcale ochoty umierać, jak ich pobratymcy na Szląsku dolnym, w Altemburskiem i gdzieindziej.

Odwiedzałem niedawno Budyszyn (Bautzen) i korzystałem z gościnności znanego u nas księdza Hórnika. Było to niedziela, więc kościół łużycki napełnił się ludem wiejskim, przeważnie kobietami w dziwnych, żałobnych strojach. Pieśni modlitwy i kazanie odbywają się w języku, ma się rozumieć, łużyckim. W samem mieście niewiele jest słowian; kilkanaście tylko szyldów i gdzieniegdzie zasłyszane dźwięki mowy nam pokrewnej, świadczą o ich obecności. Ale okolica wiejska zaraz za Budyszynem jest przeważnie łużycką, aż do granicy pruskiej, za którą mieszka sporo jeszcze słowian łużyckich.

Na jednej z ulic Budyszyna spotkałem kilkanaście dziewcząt, w stroju bardzo do naszego wiejskiego zbliżonym; były to szlązaczki od Opola, sprowadzone na miesiąc robót polnych przez jakiegoś niemca w okolice stolicy łużyckiej; skarżyły się na przeciążenie pracą i niskie wynagrodzenie.

Siedziby łużyczan ciągnęły się daleko na zachód, aż po rzekę Salę. Lipsk, Altenberg były słowiańskiemi aż po niedawne jeszcze czasy. Zostały tego ślady w nazwach miejscowych i gwarze ludu, który używa dziś wprawdzie wyłącznie niemczyzny, ale tak dziwnej i w tak niezwykły sposób przekształconej, że tylko wpływem dawnej mowy plemienia powstanie jej da się objaśnić; dużo też śladów słowiańszczyzny pozostało tam w stroju, tańcach i zwyczajach odrębnych owych miejscowości.

Ciekawy opis ludu altenberskiego podał ostatni zeszyt miesięcznika *Vom Fels zum Meer* *), ilustrowany licznymi rysunkami. Kapoty mężczyzn i strój głowy kobiet przypominają stroje łużyckie, a niekiedy i nasze. Zresztą, jak wszędzie, ubiory te nikną i dziś, gdy się pojawią w Dreznie, zwracają powszechną ciekawość, jako rzecz stająca się powoli zabytkiem. Za zwyczajów altenberskich najciekawszym jest może ten, iż gospodarstwo odziedzicza zwykle syn najmłodszy, spłacając resztę rodzeństwa, a starych rodziców osadzając, jak mówią na Szląsku i w Poznańskiem, na *wymowie, na wycugu* albo *na wydbánku*, to jest przeznaczając im pewne utrzymanie dożywotne i mieszkanie.

Kiedy już mowa o plemionach wygasających lub wygasłych, zwróćmy uwagę na wielki i znacznie ucywilizowany niegdyś lud, którego tylko imię dotychczas znano; mówię o hetejczykach biblijnych; starożytnicy dzisiejsi, na podstawie wskazówek egipskich i asyryjskich, oraz napisów hetejskich i zabytków sztuki w Syryi i Azyi mniejszej wskrzeszają wspomnienia o potężnem tem niegdyś plemieniu i wszelkie usiłowania czynią, aby pismo i mowę jego odgadnąć. Zdaje się, że był to jeden ze szczepów aryjskich i że od niego zapożyczyli pisma grecy cypryjscy wprzód nim przyswoili sobie fenickie. Zajmujące zestawienie ostatnich badań o hetejczykach podała niedawno *Revue des deux Mondes* (z 15 lipca), pióra Perrota, który wspólnie z Chipiezem ogłasza znakomite dzieje sztuki starożytnej, tłómaczone obecnie na język niemiecki.

Jesień przynosi, jak zwykle, wiele nowości księgarskich. Najbardziej nas zajmującą będzie wkrótce wyjść mająca praca profesora Hory, zamieszkałego w Pilznie czeskiem, mająca ułatwić czechom i polakom wzajemne porozumiewanie się; będą to rozmowy czesko-polskie, ile sądzić mogę z łaskawie udzielonego mi rękopisu, nader praktycznie i poprawnie ułożone.

Profesor Leger świeżo ogłosił drukowane ostatniemi czasy po różnych czasopismach studya swoje słowiańskie, zgromadzone w jeden tomik **); pomiędzy innemi znajduje się tu krótka ale dosadna charakterystyka Kochanowskiego, oraz rzut oka na mitologię słowiańską.

Z Francyi także przybywa wielce zajmujący życiorys cesarza Wilhelma, który nawet raczej nazwać można obrazem dziejowym jego epoki ***). Pisma niemieckie; zdając sprawę o tem dziele, podziwiają obszerną wiedzę i nadzwyczajną bezstronność autora; oczywiście, jako francuz, nie może on być admiratorem bohatera swojego; ale mimo to, czy raczej właściwie dlatego, książka jego góruje nad scinami panegiryków niemieckich, które wstręt obudzają służalczym lub szowinistycznym tonem swoim.

Nie będąc specyalistą w dziejach piśmiennictwa rosyjskiego, nie umiem ocenić nowej pracy Reinholdta, ukazującej się w historyi literatur świata (w którym się znajdują Nitschmanna dzieje piśmiennictwa polskiego), a obejmującej historyę literatury rosyjskiej *); znawcy bardzo pochlebnie o niej się odzywają; jest to spory tom, o przeszło 800 stronach; wiek XIX zajmuje połowę dzieła.

Słówkiem wspomnieć wypada o efektownym wybryku jakiegoś amerykanina (a może kryjącego się pod pseudonimem niemca): napisał on dzieje wypadków z r. 1890 — 91 pod tytułem: *Bietigheim* **); ten ostatni wyraz oznacza jakąś miejscowość, w której odegrać się niby miała straszna walka upadających monarchij europejskich z tryumfującą rzecząpospolitą, która całą część naszą świata ogarnia już w r. 1932; autor opisuje wypadki, jakby je widział, przytacza nawet wyjątki z dzienników niemieckich, angielskich, włoskich, nawet rosyjskich i to w mowie oryginalnej; bardzo to zabawne i na szczęście... nie długie.

Na wiadomość o „Halce“ Moniuszki, mającej się ukazać w drugiem wznowieniu na scenie teatru czeskiego, pospieszyliśmy do Pragi. Nie potrzebuję opisywać wrażeń naszych; każdy je łatwo sobie wyobrazi, kto się przeniesie myślą w warunki miejsca i czasu. Opera bardzo się podobała czechom; zdaje się, że zajmie stałe miejsce w repertuarze praskim. Wykonanie było piękne i staranne; pani Arklowa ślicznie śpiewała, a szczególnie grała główną rolę. Pierwsze przedstawienie odbyło się 19 września; na drugiem, 21 września, rolę Jontka wykonał Florjański. Piszą mi, że to drugie przedstawienie odbyło się znowu przy pełnej sali i wśród oznak ciągłego zadowolenia ze strony słuchaczy.

Na zakończenie depesza z Paryża, powtórzona z licznymi znakami zapytania i wykrzyknikami przez dzienniki niemieckie: „korespondent dziennika *Soleil* donosi, że merowie spędzali ludność do Sztrasburga na przyjazd cesarza niemieckiego i płacili mężczyznom po 5 marek, dziewczynom po 3 marki, oprócz kosztów podróży.“ Za prawdziwość wiadomości tej nie ręczę, ale ani wykrzykników, ani pytajników przy niej nie umieszczam...

Jan Karłowicz.

*) *Geschichte der jüdischen Literatur*, Berlin, 1886, u Oppenheima.

*) Krause: *Die Altenberger Bauern*, zeszyt wrześniowy.

**) *Nouvelles études slaves*, 2-me série, Paryż, 1886.

***) Ed. Simon: *L'empereur Guillaume et son regne.* Paryż, 1886, wyd. drugie.

*) *Geschichte der russischen Literatur*, Lipsk, 1886.

**) *Bietigheim*, der Krieg von 1890 — 91, seine Ursachen, Kosten und Folgen. Zurych, 1887.

WYBITNIEJSZE PRĄDY

w nowoczesnej literaturze francuskiej.

II.

Idea „impersonalizmu“ (nieosobowości) nie jest wcale nowością; była ona przedmiotem sporów estetycznych nietylko we francuskiej, ale w każdej innej literaturze, nie wyłączając i naszej, w której przybierała odcień walki o tendencyjność autora w jego pracach. Rozważając go jako pewną formę tworzenia, trzeba przyznać, że zupełnego "impersonalizmu“ niema i być nie może, autor posiada tylko większą lnb mniejszą zdolność ukrycia samego siebie w swem dziele i właściwie

rzecz biorąc, tylko tę zdolność nazwać należy „impersonalizmem.“ Do pewnego stopnia jest to bardzo pożądanem, abyśmy w sztuce jaknajmniej widzieli artystę; złudzenie prawdziwości, jakie czytelnik odbierać powinien, wymaga tego. Pomiędzy autorem a czytelnikiem dziać się musi coś podobnego, co się dzieje w teatrze maryonetek: trzeba, ażebyśmy widzieli obraz, ruch, ale nie widzieli ręki, ten ruch wywołującej. Nie usuwa to jednak zupełnie wewnętrznej sprężyny działania: ukryta czy nie, zawsze ona istnieć będzie. Odnośnie do autora, dziać się musi to samo—w utworze swoim musi on być obecnym. Wypływa to z samego charakteru tworzenia: pisząc, maluje obraz, nie farbami, ale słowami i piórem; ów obraz nie przestaje być obrazem, staje się tylko wytłomaczonym, artysta musi go pierwej pojąć, odczuć, wpatrzyć się, słowem stworzyć go pierwej w swojej duszy, a później dopiero przenieść na papier. Taka czynność psychiczna jest nadto złożoną, ażeby się mogła przenieść z duszy artysty na papier, nie pozostawiwszy żadnych wrażeń osobistych, które przecież ten obraz wywołały.

Żądanie zatarcia osobowości w literackim utworze sztuki jest regułą, niewłaściwie wysnutą ze stosunku autora do pracy w dziedzinie plastyki, w której indywidualizm znika prawie zupełnie. Wypływa to z prostego sposobu wyrażania myśli, która ująć się da w ściśle określone formy. Z utworem literackim dzieje się inaczej; autor do wyrażenia swego indywidualizmu posiada daleko więcej środków — myśli, słowa, obrazy — i dlatego daleko trudniej może ukryć się. Niektórzy pisarze z „impersonalizmu“ w sztuce stworzyli rodzaj teoryi estetycznej—sztukę dla sztuki, sztukę bez ognia — jak np. Gustaw Flaubert w powieści, Leconte de Lisle w poezyi, a Renan w filozofii. Ch. Fuster powiada, że „impersonalizm“ jest szkodliwym dla literatury i dla myśli. Czemu? Tego nie tłomaczy z powodu bardzo prostego: szkodliwość tej teoryi wcale się nie zaznaczyła, dała zaś literaturze kilku bardzo świetnych pisarzów, jak to każdy odgadł z przytoczonych wyżej nazwisk.

Flaubert był niezaprzeczenie pisarzem bardzo niepospolitym, powiedzieć można: wielkim; okresy jego stylu brzmią dźwiękami lub lśnią barwami; nie czytasz ich, ale deklamujesz. Jeżeli sięgniemy dalej i od stylu przejdziemy do idei, zobaczymy, że Flaubert stara się swoję teoryę „impersonalizmu“ w sztuce przeprowadzić w praktyce. W żadnym z jego typów literackich nie można dostrzedz autora, nigdzie, zdaje się, nie dał im swego serca, swoich myśli. Nie przeszkadza to jednak widzieć w nich postaci, urobionych według osobnego pojmowania życia, które, jak wiadomo, wydawało mu się szarem i zniechęcającem. Nigdzie śladu autobiografii, mniej jeszcze jakichbądź wyznań: autor zaciera się, chowa za swojem dziełem i każe temu ostatniemu występować niby samoistnie. Występ to zapewne bardzo wymowny, ale o ileż byłby wymowniejszy, gdyby po za tymi bez zarzutu okresami biło jego własne serce i gdyby prawdziwie wielki Flaubert nie krył własnych nieszczęść po za rozczarowaniami Emmy Bovary, Bouvarda i Pécucheta! Słusznie powiedział Goncourt, że „krew jest najlepszym atramentem, ażeby swoję imię w pamięci ludzkiej zapisać.“ Flaubert nie poszedł za tą radą, a jednak zdołał zapisać się wielkiemi zgłoskami w dziejach literatury — czy tylko dlatego, że był świetnym stylistą?

Wpływ jego byłby niezawodnie szerszy i głębszy, gdyby po za obserwacyą drobiazgową, po za obrazami malowanymi ognistem piórem, czuć było jego szamocącą się duszę, gdyby w metalicznym dźwięku i w muzykalności języka można było usłyszeć łkanie własnego serca.

Taki jęk żywy wybiega czasem z duszy Leconte de Lisle'a i to właśnie nie podoba się czcicielom formy dla formy, sztuki dla sztuki, ale jego imię może dłużej od zapomnienia uchronić. Czuć, że Leconte de Lisle, wyznawca idej nieco zacofanych, w obronie ich poddawać się im musi coraz bardziej — a jednak niekiedy zapomina o nich, idzie za popędem uczucia, uwydatnia je, nie troszcząc się wcale o naganę uczniów i naśladowców. Może to są najlepsze godziny pisarza. Zupełna refleksya, pod wpływem której autor pracuje, stworzyć może dzieło skończone co do formy i natchnienia, a mimo to nudne w czytaniu, a chłodne przy ściślejszej analizie. Obrazy, które on maluje, są wspaniałe — z tem trzeba się zgodzić: jego puszcze indyjskie pełne ciemności, góry oblane strumieniami światła, wielka cisza nocy oddana cudownie, śnieg robi wspaniałe wrażenie na krwią skropionem polu bitwy; dalej Chrystus umierający pełen majestatu, Kain, uciekający pustynią, nosi na sobie piętno całej grozy; jeszcze dalej słychać żałobne wycie wilków na stokach gór, widać dolinę na wyspie Bourbon i jej zieleń, których żywe barwy mienią się od słońca, albatros śpiący w lodowatem powietrzu Kordylierów, wieki średnie zmartwychwstałe w okropnej grozie tortur — wszystko to jest bardzo piękne, wywołane zaklęciem mistrza, ale wzrusza nas do połowy tylko, gdyż w obrazach i po za nimi nie widać mistrza, który chowa się w fałdy własnej odzieży. Pod udrapowanym płaszczem jest prorok ukryty, a my szukamy człowieka. Niezawodnie, że pod tym płaszczem jest także człowiek, ale wychyla się zbyt rzadko, jakby się wstydził zwykłych śmiertelników. Wskutek tego dzieło mocne i trwałe, zbudowane z kamienia i śpiżu, pozostaje symetrycznem, wyniosłem, zimnem, kiedy my pragnęlibyśmy widzieć w niem bijące boleścią serce.

Takiem biciem serca natchnął E. Renan sweje prace — ale czego on nie uczynił, aby zmylić i odsunąć uwagę w inną stronę! W tem właśnie chyba jest najwyższy stopień, do jakiego „impersonalizm“ w sztuce dojść może. Renan zdaje się nie być człowiekiem; porównać go raczej można do niepochwytnego Proteusza, który pokazuje się, ucieka, aby znowu wystąpić pod nową postacią. On robi zawsze to, co Sainte-Beuve robił niekiedy: każda teorya wydaje mu się dobrą, każda forma godna rozbioru, każde wrażenie zasługuje na to, aby było odczutem. W tej mieszaninie rozmaitych mniemań, sprzecznych formułek, najdziwniejszych wrażeń umysł gubi się, szukając mniemania, formuły lub wrażenia, któremi powoduje się najchętniej jego rozum tak giętki — dziś mistyczny, do niedawna jeszcze niszczący budowę religii, jutro pobłażliwy i przyjemny wolteryanin. W tej, zda się, nieskończonej rozmaitości dusz nie można zgadnąć, która jest jego prawowitą duszą. Filozof, szczery bez zaprzeczenia, przybiera pozory mistyfikacyi jako pisarz—myli ciągle swymi niespodziewanymi zwrotami, jako poeta, gdyż Renan i poetą jest niezawodnie — napawa jakiemś łagodnem wzruszeniem i budzi z tego uśpienia drwiącym—uśmiechem. Tego rodzaju „impersonalizm“ robi z Renana jakby echo z trzech sprzecznych sobie kierunków i stron dolatujące, a on powinien być człowiekiem i niczem więcej, tylko człowiekiem.

Człowiekiem pisarz przedewszystkiem być powinien, sobą samym — jeżeli posiada jakibądź indywidualizm — uwolnić się od wszelkich wpływów; jednem słowem, zniszczyć w sobie naleciałości obce i dopiero wtenczas gmach budować na podstawie własnej natury i temperamentu. Zapewne, łatwiej dawać rady, niż je wypełniać, ale jest to rzeczą niezawodną, że życie dostarcza bardzo wiele budulcowego materyału każdemu pisarzowi i staje się często niewidzialnym jego pomocnikiem w pracy. Pisarz musi przetrawić w sobie zdobyte doświadczenie — jest to proces obrobienia, przygotowania, ale chcąc budować, można użyć tylko tego materyału, który jest, a można go zakryć, uniewidocznić, ale zniszczyć niepodobna. Dzieło człowieka — to on sam. Nic przez to on nie traci, jeśli wprawne oko wyszuka w nim ślady myśli, uczuć osobistych i odgadnie epokę, kiedy wykonane zostało. Te ledwie dostrzegalne, a jednak często odczute cechy podnoszą niezawodnie wartość samego dzieła, bo zdaje się, że piętno ludzkie głębiej jest na niem wyciśnięte. „Impersonalizm“ bezwiednie może chce to piętno zetrzeć w imieniu siły estetycznych wymagań sztuki.

W poezyi francuskiej najnowszy zwrot zaznaczył się powstaniem szkoły dekadantów (décadents), której inaczej uważać nie można, tylko jako wynik zboczenia estetycznego. Znaczenie nazwy łatwo wyrozumieć, ale trudno ją oddać treściwie w polskim języku, wolę więc zatrzymać cudzoziemską. Jakiż jest rodowód tej szkoły? Zbliżyliśmy się do tej chwili — mówi Ch. Ferster — kiedy prosta wiara nie może już nas zadowolnić. Francuskie społeczeństwo zużyło w ostatniem stuleciu tyle krwi, tyle sił umysłowych w daremnych usiłowaniach, że obecnie podobnem jest do starca, mającego jeszcze pożądliwość wiedzy, ale niezdolnego już do ujęcia prawdy, do wzruszeń naturalnych, prostych; wyczerpuje więc do reszty siły na bezpłodne poszukiwania tego, co może jest nie do zdobycia, jakichś nowych wrażeń, których rozum i nerwy już nie są zdolne mu dać. Wskutek tego na naszym ciężkim, zamglonym horyzoncie widzimy tragiczny świat pesymizmu. Odczucie tego objawu tak przestraszyło niektóre umysły, że zaczęły, jak żołnierze w rozsypce, krzyczeć: ratuj się kto może! I rozległ się rozdzierający smutek bezratunkowego upadku.

Jesteśmy społecznością upadającą — mówiono — bo analiza psychologiczna wydelikatniła nadto nasze umysły, nadto odkryła do żywego duszę, badamy stan patologiczny na sobie; jesteśmy dekadantami, bo żadna ze zdobyczy ludzkości zadowolnić nas nie może i nosimy w sobie rozpaczliwe pragnienie niewiadomego. Wierząc w niezłomność kłonienia się do upadku, prorocy nowej religii, poeci, śpiewają ją nie zwyczajnym, ale jakimś prawie osobno wymyślonym językiem — bądź dlatego, ażeby zadość uczynić chorobliwej chęci gonienia za nowością, bądź wprost dlatego, aby tłumowi pokazać, o ile oni, jako istoty wyjątkowe, różnią się od niego.

Oni to stworzyli sztukę — jeżeli można użyć tego wyrazu — zupełnie nową, poezyę, niemającą nic wspólnego ze szkołą romantyczną, która zamierza osiągnąć mglistością formy i niepochwytnością myśli jakieś czysto fizyczne efekty smutku i zniechęcenia. Poezya dekadantów — tak sami utrzymują — nie powinna być rozumianą, ale odczutą; tego też właśnie szukają ludzie spragnieni nowych wrażeń. Zdaje się im, że pieszcząc uszy dźwiękiem słów, oderwanymi frazesami, łączeniem spółgłosek i samogłosek mniej więcej muzykalnem, mogą obudzić zapomocą przebrzmiałego wyrazu myśl wywołaną tym wyrazem. Za pośrednictwem idej, zbudzonych w powyższy sposób, zamierzają wywoływać wrażenie łagodne lub przykre.

Takie pojęcie poezyi nie jest bynajmniej nowe, tylko że najprzód nie nadawano mu znaczenia przeważnego i powtóre nikomu na myśl nie przyszło na takim błahym, estetycznym fundamencie budować nową szkołę. Niektóre cechy poezyi dekadentów odszukiwały się dawno — starano się mianowicie zapomocą muzykalności dobranych wyrazów charakteryzować niektóre stany duchowe i wrażenia, ale nie gubiono nigdy

z uwagi myśli. Już Wirgiliusz naśladował tętęt kopyt końskich za pomocą odpowiednio dobranych wyrazów i nasi tak zwani klasycy roili na te same tematy. Było to jedynie zabawką, próbą — niczem więcej.

Utożsamiają niejako poezyę z muzyką, nie można do pewnego stopnia zaprzeczyć słuszności w określeniu poezyi dekadentów. Pierwsza poniekąd działa tak, jak druga: więcej na nerwy, niż na serce i głowę, ale to nie wymaga wcale użycia naciąganych wyrazów lub łączenia ich w sposób wyszukany. Można być zrozumiałym, nie przestając oddziaływać na uczucie; dość przytoczyć Shelley'a lub Sully Prudhomme'a we Francyi.

Co do formy, dekadanci uprawiają rzemiosło bezwarunkowo szkodliwe dla literatury francuskiej, chociaż przynoszą jej nieco własnych zdobyczy: wzbogacili poezyę kilku nowymi rytmami, zastosowali formę starej piosenki francuskiej, zmusili pisarzów ścieśnić nieco sposób wyrażania się, okiełznać natchnienie nadto samowolne i pamiętać o artyzmie, często zapominanym. Ale ich inowacye — według Ch. Fustera — wstrętne są charakterowi francuskiemu, który lubuje się we wdzięku doskonałym, w pięknie skończonem, w pewnej skromności, czystości tonów i linij. Dotychczas Paweł Bourget, jak się zdaje, sam jeden namiętnie upaja się tu nieokreśloną melancholią spółczesnej poezyi angielskiej. Poezya dekadantów jeszcze bardziej nieokreślona i melancholijna, jeszcze bardziej rozczarowana, osłabiona, odurzająca i odurzona, nie może zaspokoić społeczeństwa, czującego potrzebę ścisłości, światła, jasności rozpościerającej się szeroko.

Jeżeli od formy przejdziemy do treści, znajdziemy jedno uczucie — zniechęcenie. Nie idzie tu wcale o jakieś cierpienia — boleść może być wymowną, zachwycać wybuchem, energią przekleństw i skarg; w poezyi dekadantów dostrzegamy tylko zniechęcenie do czegoś, co oni nazywają upadkiem. Wszystko w nich jakieś smutne, gorzkie, nawet rozkosz życia. Dla nich niema nic nowego, a raczej oni nie spostrzegają nic nowego — i to ich przygniata; nerwy mają rozstrojone, serce wyschłe, rozum chory, uczucia opanowane bezwładnością, zmęczone na służbie woli. Nie są zdolni nawet do wzruszeń miłości, zgryzot, zazdrości, pragnień sławy, zachwytu i podziwienia. Inni śpiewają, płaczą, żyją, kochają, cierpią — oni są jednakowo zniechęceni. Nic też dziwnego, że przestraszeni swoją wrzekomą boleścią, opanowani przestrachem o jutro, które ma być bezbarwnem i nudnem jak wczoraj, niezdolni siłą moralną okiełznać nieposłusznej woli—prorokują bladą zorzę upadku.

Zorza ta nie świta jeszcze. Z powodu kilku umysłów chorych, kilku wybitnych wprawdzie, ale odosobnionych wypadków patologicznych, nie mamy prawa jeszcze wątpić o przyszłości. Ruch nihilistyczny, występujący w najświeższych prądach literackich, zakończy się powrotem do uczuć prostych. Po tylu obserwacyach szczegółowych, po takiem rozczłonkowaniu biednej duszy ludzkiej, po tej melancholii, rozciągającej się mgłą nad wielu jasnymi umysłami — musi zapanować znowu dzień jakiś pogodniejszy. Ch. Fuster twierdzi nieco ryzykownie, że dziesięć lat nie minie, a zaczniemy zadawalniać się życiem prostem, szczerem, naturalnem; ludzie chętniej będą kochać, niż badać lub odrzucać miłość, chętniej pracować, niż poddawać wątpliwości pożyteczność pracy; będą myśleć, zamiast wykazywać nicość myśli. Wszystko, co umiera, odrodzić się musi, tak samo odrodzić się musi zdrowie moralne społeczności.

Ostatnie wywody autora nasuwają myśl inną: czy optymizm nie jest także chorobą, czy nie usypia życia, zamiast go budzić, nie zamyka oczu, zamiast je otwierać, a fałszywą lub przesadzoną nadzieją i wiarą nie robi więcej złego, niż dobrego?

F. Rawita.

ZMIENIONE CZASY.

Zygmunt Kaczkowski: *Abraham Kitaj*, powieść z czasów króla Jana. II tomy. Gebethner i Wolff.

Kiedy po długoletniej przerwie w działalności pisarskiej Kaczkowskiego zjawiła się w *Gazecie polskiej* powieść jego p. t.: *Graf Rack*, oczekiwania czytelników, którzy zachwycali się kiedyś utworami tego autora, lub na wiarę krytyków uwielbiali jego talent — zawiedzione zostały zupełnie. Powieść nie podobała się nikomu; nawet łaskawa dla znakomitego pisarza krytyka zawyrokowała, że talent jego osłabł. *Teka Nieczui* dowiodła jednak mylności tego zdania. Obecnie Kaczkowski napisał nową powieść historyczną, wymienioną w nagłówku, którą drukował *Kuryer warszawski*; ale czytelnicy, chociaż tracze nie oczekiwali już rzeczy nadzwyczajnych, rozczarowali się znowu i głos ogółu, o ile go usłyszeliśmy, twierdzi, że *Abraham Kitaj* jest utworem miary średniej, nawet słabym. Tymczasem powieść bynajmniej nie gorsza od większości poprzednich dzieł Kaczkowskiego, a od niektórych chwalonych niegdyś i gorliwie czytanych bez zaprzeczenia lepsza. Jakież więc przyczyny spowodowały ten wyrok nieprzychylny, jeżeli talent autora nie osłabł wcale, ani nie uległ żadnym zmianom? Sądzę, że po prostu zmieniły się wymagania czytelników, którzy od powieści historycznej żądają dziś tych zalet artystycznych, jakich Kaczkowski nie posiada wcale i nigdy nie posiadał.

Piękny, silny język, zbliżony do najlepszych wzorów starożytnej polszczyzny, dokładna znajomość przeszłości, zwłaszcza strony jej obyczajowej, bogactwo szczegółów charakterystycznych, zaczerpniętych przeważnie z tradycyi ustnej — oto przymioty jego utworów, którym brak natomiast tej plastyki opisowej, jaką celuje Sienkiewicz i tej zręczności układu, trzymającej w natężeniu ciekawość czytelnika, zręczności, którą posiadał np. Dumas ojciec. Tymczasem te właśnie warunki konieczne są dzisiaj dla powodzenia, gdyż o realne odtworzenie czasów minionych kusić się niepodobna. Największy talent nie zdoła przedstawić dokładnie charakteru tych ludzi, bo go nie zrozumie, ci przodkowie nasi inaczej czuli i myśleli, niż my myślimy i czujemy. Intuicya stworzyć tu może wiele, ale i jej zakres jest ograniczonym. Niektórzy sądzą, że dosyć, aby powieść odtwarzała tło ogólne dawnej epoki, charakter jej, jak mówią jedni, lub ducha, jak chcą inni. Nie jest to jednak zadaniem powieści, która przedewszystkiem z ludźmi winna mieć do czynienia, ale rozprawy historycznej, która się lepiej z tego wywiąże. Jeżeli kto, to właśnie Kaczkowski mógłby nakreślić taki obraz, a jednakże i on w ostatniej pracy swojej, czując, że w utworze artystycznym w zupełności tego zrobić nie można, daje w ostatnim rozdziale krótką rozprawę o stosunkach politycznych i społecznych Polski za panowania Jana Sobieskiego.

Nieraz krytyka czyniła uwagę; którą i do *Abrahama Kitaja* zastosować można, że postacie podrzędne, zwłaszcza zaś osoby z ludu, lub wogóle z niższych warstw społecznych, rysowane są w powieściach historycznych dokładniej, bardziej wyraziście, aniżeli bohaterowie główni i dziejowi. Zdaje mi się, że rzecz tę wytłomaczyć można łatwo: życie ludu i tych klas społecznych, które stoją na poziomie niewiele wyższym, ulega zmianom bardzo powolnym, trafna więc obserwacya osób żywych i stosunków obyczajowych bieżących wspiera intuicyę lub nawet zastąpić ją może. Kasztelan Fredro z czasów Sobieskiego i potomek jego, znakomity komedyopisarz, różnią się pomiędzy sobą nietylko właściwościami osobistemi, ale także jako dwa odmienne typy historyczne; tymczasem potomek ubogiego szlachcica sanockiego mógł jeszcze, zwłaszcza za czasów młodości autora, różnić się niewiele od swego pradziada, a potomek żyda Dyma nie odstępuje dziś prawie wcale od swego protoplasty, jeżeli mieszka w pogranicznej górskiej mieścinie i podobnie jak przodek jego handluje i pożycza szlachcie pieniądze. Więc też i w powieści Kaczkowskiego osoby, zajmujące stanowisko naczelne w ówczesnem społeczeństwie i w utworze, nie wyłączając nawet głównego bohatera, zarysowują się słabo lub zbyt przypominają typy dzisiejsze, podówczas gdy postacie drugorzędne — jak np. bombardyer Mleczko, burgrabia Hołubowski itd., występują wyraziście i realnie.

Bohater utworu Abraham Kitaj, a właściwie Łaszcz - Kitajgrodzki, to jeden z tych warchołów, których tylu wydała Polska szlachecka, zwłaszcza w epoce wcześniejszej nieco, w końcu XVI i początkach XVII stulecia. To nieodrodny brat Zborowskich, Łaskich, Wiśniowieckich, których natura burzliwa pędziła za granice ojczyzny do Zaporoża, Multan, Siedmiogrodu, gdzie urządzali wyprawy łupieżcze, wichrzyli, zmieniali książąt i hospodarów, a zazwyczaj ginęli marnie. Czasy, w których żył Kitaj, były już inne, więc też i warcholstwo jego więcej podobne do prostego rozboju, zresztą, jak sam on trafnie mówi, między rycerzem takim a rozbójnikiem „różnica bardzo subtelna,“ w danym zaś razie polega na tem, że działalność jego rozwija się na większą skalę, ale nie z braku chęci lub fantazyi, tylko wskutek okoliczności. Z Abrahama Kaczkowski nie zrobił romantycznego bohatera, chociaż pewna życzliwość dla tego junaka przebija mimowolnie; owszem, zgodnie z prawdą dziejową zrobił go chciwym na łup i ten rys charakteru silnie uwydatnił. Borowski, szlachcic-reformator, ogłoszony przez współbraci za waryata, polityk i filozof polskiego typu, bogobojny i uczciwy, demokrata umiarkowany, cieszy się widocznie względami Kaczkowskiego, czemu nie dziwię się wcale, zasady jego podobne są zupełnie do poglądów autora *Teki Nieczui*.

Treści utworu podawać nie będziemy, zaznaczyć trzeba tylko, że w wielu szczegółach przypomina ona inne powieści Kaczkowskiego. Sam Kitaj podobny jest nieco do *Murdeliona*, szlachcice również podejrzywają go, że ma do czynienia z dyabłem. Szlachcice ci: bombardyer Mleczko, stary Hołubowski, Mruk, zapełniają najlepsze stronnice powieści. Szczególniej udał się autorowi Mleczko, typ nakreślony bardzo oryginalnie, nie według szablonu, przy pomocy którego rysują zwykle żołnierzy w dawnych powieściach. Stary wyga, chciwy na grosz, pijak, odważny w potrzebie, ale nie mający bynajmniej ochoty do zapasów bojowych, posiada słabość uchodzenia za uwodziciela. Pyszną jest scena, kiedy ten siwy gach spowiada się księdzu, że uwiódł dziewczynę, której teraz urodziło się dziecko. „Błaźnie! — krzyknął ksiądz — tumanisz ludzi, siedząc w twoim bastyonie, że niby bronisz granic, a teraz mnie chcesz także okpić. Ruszaj do domu i każ przyjść do spowiedzi twoim dragonom.“ Najlepiej wychodzą sceny pijackie, które zawsze Kaczkowski kreślił wyśmienicie, i w Kitaju jest kilkanaście kartek z tymi rodzajowymi obrazkami — jak np. scena leczenia się starosty Dzierżka od podagry. Stary pijak siedzi w krześle z nogami, owiniętemi kocem i łyka wodę; naprzeciw zaś niego kilkunastu bernardynów

śpiewa pieśni pobożne, odwilżając sobie gardło po każdej zwrotce kielichem wina. Leczenie trwa dopóty, dopóki ostatni bernardyn nie padnie na ziemię; wtedy starosta upewniony, że podagra wlazła mnichom w nogi, wstaje i zaczyna chodzić.

Bogactwo i dokładność szczegółów, wyborna znajomość nietylko dziejów kraju w danym okresie, ale i dziejów danej miejscowości, w której rzecz się odbywa, znajomość taka, że nawet w pokrzyżowanych stosunkach rodzinnych autor nigdy się nie pomyli, piękny język, niezaprzeczony talent pisarski, umysł szeroki, wreszcie wspomnienie sławy, powszechnie ogłaszanej przez krytykę — wszystko to nie zapewniło powodzenia powieści. Nie wytrzymała ona wśród czytelników współzawodnictwa z *Potopem*, którego autor zna przeszłość bardzo pobieżnie i to tylko ze strony zewnętrznej, pisze pięknie, ale dorywczo, treść utworu urozmaica bardzo mało, opisując przeważnie bitwy, używa często efektów oklepanych — ale pociąga czytelnika olbrzymim talentem opisowym, który okupuje wszystkie braki. Talent Sienkiewiaza bardziej współczesny, lepiej odpowiada wymaganiom estetycznym publiczności, to też wywołuje często nawet przesadny zachwyt, kiedy Kaczkowskiemu dostaje się tylko albo obojętne uznanie, albo nawet nagana niesłuszna. Niesłuszna, bo talent jego nie osłabł i nie zmienił się bynajmniej, zmienił się tylko gust czytelników.

W

FEJLETON.

LIBERUM VETO.

Sławny tchórz. — Odraza do sztandaru. — Ojczyzna mroków. — Zamknięcie drzwi uniwersyteckich przed kobietami. — Komu nauka niewieścia szkodzić może. — Wojna wszystkich z wszystkimi. — Kultura i młodzieńcza naiwność. — Losy bibliotek prywatnych. — Konieczność położenia. — Śmiech obecny i przyszły.

Licznych, liczniejszych, niż niejeden uczony, wspomnień pozgonnych doczekał się biedak, który podczas wojny francusko-pruskiej dostał „febry armatniej“ i zbiegł z pola bitwy, za co przez wojenny sąd pruski skazany został na więzienie i jako zhańbiony pokutnik umarł. Tchórzostwo jego stało się tak sławnem, że wszystkie dzienniki doniosły światu o śmierci uciekiniera. Pojmuję najzupełniej chęć wysunięcia głowy z pętlicy, której ktoś dobrowolnie sobie nie zadzierzgnął i przez którą przesmyknąć się trudno; ale doprawdy nie dziwiłbym się tegoczesnemu niemcowi, gdyby zmykał z szeregów bojowych nie pod wpływem trwogi, ale odrazy od sztandaru. Bo proszę mi powiedzieć, co tego niemca, jeżeli on nie jest żywym karabinem magazynowym, napełnia dumą, zapałem, gotowością do ofiary z życia? Mocna pięść i w niej maczuga krzemieniami obita? Na to trzeba mieć dzikie popędy teutonów. Można kochać mądrość, cnoty, wreszcie niedolę swego narodu, ale niepodobna kochać jego poddańczości i wyrzekania się cywilizacyi. Obecne zaś Niemcy, jeżeli dalej pójdą w kierunku wstecznym, cofną się same i zaprowadzą świat do tego okresu, w którym ich przodkowie obcinali nosy zażywającym tabakę i mężnie opierali się wprowadzeniu kartofli. Z miejsca, z którego na ludzkość tak długo spływały strumienie światła, teraz spadają tylko czarne mroki. Od lat kilkunastu zły duch niemiecki kusi Europę i stwarza przykłady barbarzyństwa, chętnie naśladowanego. Niemal każda zmora, jaka nam ciąży na piersiach, tam się wylęgła. Stamtąd widmo reakcyi straszy narody swojem dzikiem obliczem i rozpościera noc wokoło. I oto zaszeleścił nowy szmat tej nocy: rząd pruski zabronił kobietom wstępu na uniwersytety. Pruski — to znaczy: niemiecki, bo rzesza niepodległych królestw i księstewek istnieje tylko jako muzeum starożytnych zabytków niezależności i swobody. Uprzytomnijmy sobie pierwiastki moralne tej orzeźwiającej atmosfery końca XIX w.: naród wielki zagryza małe, bogaci — ubogich, chrześcianie — niechrześcian, synowie jednej rasy — synów drugiej, brat — brata, mężczyzna — kobietę — tu słychać szczucie polaków, tam niemców, włochów lub francuzów, tam żydów, tam znowu katolików, słowem w tej walce wszystkich przeciw wszystkim giną najświętsze uczucia i zasady tak, że nie wiadomo już zupełnie, czem ludzkość jeszcze się trzyma. Dziś można czytać Machiavella bez zgrozy i Hobbesa bez gniewu — dziś etyce ogłoszono upadłość, bo całkiem straciła kredyt. I jeżeli — jak przy wielu podobnych wypadkach — zapytamy: co rządowi szkodziła wyższa nauka kobiet — nie otrzymamy żadnej innej odpowiedzi, prócz powołania się na regułę: *sic volo, sic jubeo* — tak chcę, tak każę. Przycichła już obecnie hałaśliwa walka, ale trwają dotąd spory o prawa i uzdolnienia niewieście. Uzdolnienia te objawiły się w bardzo szczupłym zakresie i dość niskim stopniu — można więc o nich wątpić lub nie, można zajmować stanowiska Milla, Buckla lub Bischoffa i Schopenhauera z większą lub mniejszą słusznością. Więcej powiem — bez narażenia się na śmieszność i wawrzyny kretynizmu można ograniczać prawa kobiet w służbie publicznej, ale odsunięciu ich od nauki najwykrętniejsza logika nie dostarczy usprawiedliwienia. Przeciwnicy emancypacyi w tym kierunku posługują się bezsensem i gwałtem. Mają oni tysiąc stawideł dla zatamowania upustów niedołęztwu, mają tyleż probierzów dla sprawdzenia sił umysłowych każdego osobnika — i zamiast pozostawić sąd wynikom swobodnej próby, wyrokują bez doświadczeń i wydają zakazy bez dowodów. W sprawie uzdolnienia kobiet wolno nam zaledwie orzec, że są one zagadką, ale nie wolno nam wnioskować prawodawczo. Kobieta obecna nie powinna głosować, zasiadać w parlamencie, w sądzie itd. — no, zgoda; ale czemu nie powinna się uczyć nawet wtedy, gdy z nauki nie wyciągnie korzyści równych mężczyźnie? Jaką szkodę najkonserwatywniejsze państwo poniesie na tem, że matka będzie znała chemię, a narzeczona — filozofię? Czy im płotu na drodze do uniwersytetu nie grodzi prosta bezmyślność, pragnąca wstrzymać i groblami ścieśnić szerzej rozlewający się ruch umysłowy? Gdybym był Drakonem, strzegłbym się przynajmniej śmieszności: zabroniłbym kobiotom leczyć, adwokatować, inżenierować, ale pozwoliłbym im badać medycynę, prawo i matematykę.

Jest do uwierzenia trudnem, jak dalece przykład nadużyć samolubnych bywa zaraźliwym. Woń przykra ma daleko większą lotności, niż przyjemna. Jeden zdechły i gnijący kret więcej da się czuć przechodniowi, niż sto fijołków. Podobnie dzieje się w sferze moralnej. Jak odwiatr padliny wwierca się w nos i usta, nasiąka włosy i odzież człowieka, tak woń złego przenika wszystkie pory naszej duszy. Zdawałoby się, że jeżeli ludzie cierpią od gwałtu, egoizmu, zaślepienia, przez opór nie powinni być ciemiężycielami, sobkami i fanatykami. Tymczasem — przeciwnie: ofiara zawsze przejmuje występki swego ciemiężcy a niewolnik jest najokrutniejszym panem. Nie łudźmy się, żeśmy nie ulegli najzgubniejszym prądom obecnej epoki. Gdy zaczęto wyganiać polaków z Prus, zamiast strzedz się wszelkiego prześladowania, w najmniejszym zakresie, zaczęliśmy rozdmuchiwać w sobie nienawiść do wszystkich żywiołów, niewyrosłych na wspólnym pniu, a t. z. kwestya żydowska przeszła znowu w stan zapalny. Antisemityzm pruski odbił się echem nad Wisłą. Gdy w Niemczech główny maszynista dał kontrparę i my cofnęliśmy nasze lokomotywki. Na wszystkich kolejach jedziemy wstecz. Wyższe cele nas nie wabią, idealne porywy nie wstrząsają, ani wiedza, ani literatura, ani muzy już nas blaskami swymi nie olśniewają. Coraz ciaśniej zamykamy swój światek, w którym dyszą łakome pragnienia wygody osobistej. Pełzamy jak żółwie, zadowoleni, jeżeli po naszej skorupie przetacza się ciężkie koło losu i nie zmiażdża jej. *Graždanin* kładzie w usta Bismarkowi następujące wyrazy, wypowiedziane podczas rozmowy z jakimś rusożerczym niemcem: „Wy czytacie swoje niemieckie książki i dzienniki — i zachwycacie się: jakie to wszystko rozumne, jakie godne cywilizowanego narodu. Ja zaś czytam gazetę rosyjską i mówię: jakie to młode, jakie naiwne! Odłożywszy gazetę, myślę sobie: co jabym dał za to, żeby odstąpić do licha Rosyi *całą naszą kulturę*, byle dostać w zamian jej *młodzieńczą naiwność*.“ To coś więcej, niż „królestwo za konia,“ bo „cała kultura“ niemiecka za „młodzieńczą naiwność.“ Bismark mógł tych słów nie wypowiedzieć, ale jakże one są „dobrze wynalezione“ w jego stylu! On rzeczywiście lekceważy „kulturę,“ nienawidzi jej. Co robią ludy, słuchające tych złorzeczeń? Naśladują go i również przeklinają „kulturę,“ tę mieszaninę „wszystkich rozkładowych pierwiastków wieku.“ A my? Staramy się o „młodzieńczą naiwność“ i skazujemy na zagładę „książki,“ które, według kanclerza, są przyczyną upadku Niemiec. Ciekawą w tym przedmiocie opowieść zamieszcza *Gazeta warszawska*, opisująca zniszczenie kilku bogatych zbiorów bibliotecznych polskich. Prot Lelewel (brat Joachima) daremnie błagał różne Towarzystwa, oraz „protektorów sztuk i nauk“ o nabycie jego księgozbioru za 2,000, 1,500, wreszcie za 1,000 rs. Zatykano uszy przed tem wołaniem. „Pewien magnat — mówi gazeta — którego dobra ze swego ogromu weszły niemal w przysłowie, odrzekł, że *tyle pieniędzy* nie może wydać na książki. Na dobitkę pewien ex-redaktor i księgarz ogołocił bibliotekę z dzieł najnowszych.“ Część zbiorów po śmierci Prota poszła na sprzedaż w ręce bezpieczne, a część nabyli za bezcen antykwaryusze. „Nie mogę zapomnieć pierwszego wrażenia po zobaczeniu zsypanych bez ładu na brudną podłogę sklepu ksiąg lelewelowskich — pisze autor tego trenu. Podejmujesz tę i ową książkę, widzisz druki Elzewirów, Krzysztofa Plantina, Commelina, lejdeńskie, Sebastyana Gryfa, Oporina, Episkopiusza i Guarina itd. Patrzałem na to pod wpływem wspomnień setnej rocznicy urodzin i dwudziestej piątej zgonu Joachima Lelewela, więc przychodziła myśl do głowy, że może nasza społeczność potrzebuje jeszcze dowodzenia, iż biblioteki są potrzebne i pożyteczne, iż cześć dla zasłużonych jest dodatnią i produkcyjną siłą moralną — tak dobrą, jak i bodźce materyalne. Widok wszakże studenta, któremu rumieniec twarz oblał z zakłopotania, co najlepszego a odpowiedniego do kieszeni wybrać z tych książek, rzemieślnika, który płacił ciężko zapracowanym groszem za *Pieśni historyczne* Niemcewicza — usunął obawy. Rzecz cała w tem się zamyka, że „zacne miłośnictwo“ i dostatek rzadko chodzą w parze.“ *Gazeta* przypomina historyę Biblioteki Handlowej w New-Yorku, która z drobniutkiego zawiązku wyrosła na tak olbrzymią, że dziś wypożycza rocznie 200,000 tomów. W dzisiejszym numerze *Prawdy* znajdzie czytelnik inne jeszcze tego rodzaju objaśnienie, z obcych stosunków poczerpnięte, my nad swoimi możemy tylko załamać ręce. Społeczeństwo bogatych, dogodnie urządzonych

bibliotek nie ma, prywatne — idą w poniewierkę. Szanuję bardzo zamiłowanie ludzi do książek, ale wyznaję, że „prywatna biblioteka“ przypomina mi domową fabrykę sukna. Cechą narodów słabo ucywilizowanych jestześrodkowywanie w gospodarstwie jednostkowem różnych gałęzi środków życia i pracy. Przodkowie nasi miewali w domu: restauracyę, pralnię, jatki, fabrykę płótna, sukna, miodu, wódki, octu, szwalnię, kuźnię itd. Dziś z gospodarstwa rodzinnego wydzieliły się rozmaite zatrudnienia i stanowią osobne rodzaje produkcyi, a przypuszczam, że niedalekim jest czas, w którym każdy dla siebie nie będzie prał, gotował itd. Do anachronizmów należy również prywatna biblioteka. Czy to nie cudaczne, ażeby człowiek, pragnący czytać, kupował setki i tysiące książek za własne pieniądze i trzymał je na składzie, jak sztuki perkalu? Czy nie powinny mu wystarczać jedynie te nieliczne, których jak szklanki i kubka codziennie potrzebuje? Czy społeczeństwo nie powinno mieć zbiorów książek, jak posiada galerye obrazów, rzeźb, otwarte dla użytku publicznego? Tymczasem wszakże, uwolnieni od wyrabiania piwa, przekazanego browarom, musimy jednostkowemi siłami gromadzić książki, bo inaczej literatura nasza, zamknięta w skarbcach, lub zostająca pod sekwestrem, będzie widzialna dla ogółu tylko przez kraty.

Gdybym wierzył w nasze stowarzyszenia, w które nie wierzę, radziłbym podjęcie starań, któreby... Doświadczeni śmieją się ze mnie. A jednak w Londynie istnieje nawet „towarzystwo dostarczania kaszki biednym dzieciom irlandzkim.“ Prawda, jakie to zabawne? Och, gdybyśmy byli pewni, że za lat sto jeszcze śmiać się będziemy...

Poseł Prawdy.

NA WIDNOKRĘGU.

Zbrodnie. — Dziwna pobłażliwość i jej skutki.—Straż ochotnicza w Łodzi. — Tajemnice niemieckie. — Towarzystwo muzyczne. — Rozruchy w Zawierciu.

Ciekawą byłaby niezmiernie statystyka zbrodni w zależności od pór roku. Zagranicą istnieją dane tego rodzaju a nawet komentarze do nich. Nie wiem, jakie rezultaty wypadłyby u nas, ale od lat kilku zauważyłem, że z początkiem jesieni w pismach zjawia się zawsze mnóstwo wiadomości o rozmaitych zbrodniach i powtarzają się utyskiwania korespondentów na upadek moralności, słabej represyi karnej itd. Gdyby chodziło tu o drobne przekroczenia lub nawet kradzieże w miastach, fakt łatwo dałby się objaśnić. Ale przyczyny ekonomiczne nie tłomaczą, dlaczego np. zwiększa się liczba występków przeciw własności, kiedy w jesieni wyżywienie się jest najłatwiejszem i zarobek częsty? Zbrodnie zaś takie, jak morderstwa, podpalania itp. tembardziej wymagać muszą innego wyjaśnienia. Nawet bandy rozbójnicze zwykle zaczynają działać w jesieni, chociaż w lecie łatwiej by im było zbierać się i ukrywać. W powiatach Nowogródzkim i Słuckim — jak pisze do *Gazety rolniczej* p. A. Jelski — w ciągu krótkiego przeciągu czasu zdarzyło się kilkanaście pożarów wskutek podpalenia. Świadczy to, bezwątpienia, o nienormalnych stosunkach ekonomiczno-społecznych, jak zresztą przyznaje sam korespondent. Na Białej Rusi sprawy wiejskie bardziej niż w innych okolicach państwa są zaopatrzone i nigdzie chyba nie ma tylu przestępstw rolnych, chociaż lud tamtejszy uważany był za przygnębiony zupełnie, zahukany i potulny. Ten charakter jego bardziej jeszcze świadczy na niekorzyść stosunków miejscowych; strasznem musi być położenie chłopa białoruskiego, jeżeli zniewala go do wyjścia z przyrodzonej apatyi.

P. Jelski nie widzi innej drogi ratunku, tylko „wymierzanie doraźnych kar na zbrodniarzy,“ co zapewne oznaczać ma jakieś sądy nadzwyczajne, może wojenne. Jest on takim pesymistą odnośnie do ludu, że nawet w sprawie czynszowniczej, chociaż rozstrzygniętej już przez ustawę, pragnąłby „obmyśleć środki stanowcze z urzędu.“ gdyż przeczuwa, że pożądliwość cudzego mienia przybierze znaczne rozmiary a „kraj straci wiele ekonomicznie i społecznie na tem zawichrzeniu pojęć o prawie własności.“ Nie potrzebuję dowodzić, że kraj ekonomicznie i społecznie zyskałby tylko na tem, gdyby „pożądliwość“ czynszowników była zaspokojoną; zamiast bowiem głodnego proletaryatu otrzymałby taką samą liczbę spokojnych i pracowitych obywateli. Może wtedy zmniejszyłyby się wypadki podpaleń i wogóle wszelkich zbrodni.

Jeżeli lud białoruski przedstawia p. Jelski w jaknajgorszem świetle, to nie oszczędza również i inteligencyi. Opowiada on nam o obywatelu, który straciwszy milionową fortunę, dopuścił się najhaniebniejszych oszustw, lub o innym, który podrabiał weksle na żyda. „To wcale nie wyjątek na padole naszego zdezorganizowanego obywatelstwa — dodaje autor — nierzadko słyszy się o okropnych sprawach ludzi, nieoglądających się na żadną opinię publiczną, na sumienie i obowiązki, którzy gotowi wszystko podeptać dla zdobycia mamony, lub przez chęć zwierzęcą użycia i nadużycia.“ I oto ten sam p. Jelski niejednokrotnie przypisywał niemoralność ludu tej okoliczności, że inteligencya, która w takich barwach przedstawia, pozbawioną jest możności wpływania na chłopów w sposób uszlachetniający „ciemną masę.“

Kiedy chłopskie zbrodnie oburzają naszych moralistów, gromiących zepsucie gminu wymownemi słowy, przestępstwa, spełnione przez osoby z jakichkolwiek względów uprzywilejowane, cieszą się ojcowskiem pobłażaniem. Oto np. *Kuryer rolniczy* opowiada, że w pewnym majątku, w okolicach Warszawy, rządca, rozgniewawszy się na parobka, uderzył go w głowę praską do przyciskania papieru i na miejscu zabił. „Czy to potrzebne?“ — łagodnie upomina winowajcę kronikarz pisma. Rzeczywiście, czy to potrzebne unosić się tak gniewem, żeby potem za zabicie jakiegoś chama porządny człowiek szedł do kryminału? Ciekawa rzecz, jakby upominał kronikarz *Kuryera* rządcę, gdyby ten uderzył parobka ręką lub zelżył go słownie, za co również niepotrzebnie mógłby odpowiadać. A może to tylko delikatność wyrażeń, jaką np. odznacza się *Dziennik łódzki*, który donosząc o jakiejś waryatce, mieszkającej w Rudzie Pabianickiej, dodaje nawiasem, że ta kobieta ma „szczególną pasyę topienia dzieci i rzucania się z nożem na osoby dorosłe.“

Jeżeli świadomych i nieświadomych morderców traktujemy tak grzecznie, to, doprawdy, nie mogę wymyśleć, w jaki sposób należy np. zapytać pana zawiadowcę stacyi w Koluszkach, który pasażera, posądzonego niesłusznie o stłuczenie szyby, kazał gwałtem przyprowadzić na swój sąd. Spytałbym go: czy to potrzebne wyprawiać takie awantury nawet wtedy, kiedy pasażer jest żydem, ale nie mogę przecież obrażać człowieka, o którego uczciwości nie mam powodu wątpić, upomnieniem, skierowanem do zabójcy. Pobłażliwość grzeczna *Kuryera rolniczego* i delikatność *Dziennika łódzkiego* wprawiają mnie w istotny kłopot, chciałbym bowiem właśnie pomówić dziś o kilku drobnych wykroczeniach, a raczej wybrykach i nie wiem, jak traktować ich sprawców, ażeby nie obrazić ich i nie skrzywdzić stosowaniem nicodpowiedniej miary do tych czynów.

Chociaż Łódź nazywa się „Manchesterem polskim“ i jest rzeczywiście wielkiem ogniskiem przemysłu i handlu, panują tam jednak obyczaje patryarchalne. W dnie świąteczne urzędnicy pocztowi wydają korespondencyę tylko do godziny jedenastej rano. Kiedy termin ten zbliża się, urzędnik każe zamykać drzwi i nie wpuszczać nowych interesantów. Dotąd jest on w porządku, ale z jakiej racyi nie pozwala nikogo wypuszczać, dopóki nie załatwi ostatniego interesanta? Publiczność szemrze i gniewa się, ale wielbiciel porządku głuchy jest na wszelkie przedstawienia i prośby, więzi on nieraz biednych odbiorców listów przez godzinę. Czy to potrzebne, przepraszam, czy to konieczne — jeszcze nie — czy nie możnaby urządzić wydawania listów w ten sposób, żeby interesanci nie tracili tyle czasu?

Istnieje w Łodzi ochotnicza straż ogniowa, która, oprócz głównego swego zadania. spełnia również funkcyę miejscowego parlamentu, zwłaszcza teraz, kiedy na posiedzenia oddziału Towarzystwa zachęty przemysłu i handlu zbiera się tylko trzech członków. Otóż straż ta, która nietylko broni miasta od ognia, ale i odrębności niemieckiej od szkodliwych jej wpływów, posiada wśród swych członków ciekawe okazy. Na ostatnim zebraniu powien niemczyk, oburzony tem, że prasa „plami dobre imię“ strażaków, wymieniając ich nazwiska z powodu różnych zajść, jakie zdarzają się przy gaszeniu pożarów — żądał, aby straż ogniowa nakazała dziennikom milczenie. Gorący niemiec tak rozgorzał zapałem, kiedy mowę jego współtowarzysze przyjęli hucznymi oklaskami, że w zapreczeniu swojem doszedł do zbyt wysokiej temperatury nierozsądku i bezczelności. Na szczęście znalazł się właśnie w zebraniu „wodniczy“ p. Wiśniewski, który płonącego bohatera oblał strumieniem zimnej rozwagi, dowodząc mu, że straż jest instytucyą publiczną, na którą społeczeństwo ponosi wydatki, co daje mu niezaprzeczone prawo krytyki i kontroli.

Nic dziwnego, że niemcy łódzcy tak nie lubią jawności, mają bowiem do ukrycia wiele spraw nieczystych. Nie będę tym razem mówił o stosunkach przemysłowo-handlowych, ale zaznaczę fakt, opisany przez kronikarza *Dziennika*, fakt, który podobno powtarza się często. Młoda dziewczyna z Warszawy wezwana była na nauczycielkę do Łodzi, ale przybywszy na miejsce, znalazła się w „pensyonacie bez języków starożytnych.“ Szczęśliwie udało się jej uciec z domu rozpusty, inne wszakże, oszukane nikczemnie dziewczyny ugrzęzły w błocie. z którego wydobyć się nie miały czy to siły, czy sposobności i ostatecznie pogodziły się z losem.

Rozpusta rozpościera się w Łodzi coraz szerzej i występuje coraz jawniej. nie znajdując żadnego przeciwdziałania, bodajby nawet ograniczeń policyjnych. Ludzie, znający dobrze stosunki miejscowe, opowiadają straszne rzeczy o zepsuciu obyczajów, które toczą moralność ludności w dwojaki sposób: bądź nurtując tajemnie, bądź też naigrywając się bezczelnie z wymagań przystojności publicznej. Prostytucya istnieje tu w rozmiarach takich samych, jak w najbardziej osławionych siedliskach nierządu — np. w Lille lub Manchesterze. Tingel-tangle, knajpy z arfiarkami i śpiewaczkami niemieckiemi spotykają się na każdym kroku, rozsiewając jawnie zgorszenie. Tajemnice tej ohydy oczekują światła dziennego, w którem ukazałyby się w obrzydliwej, ale pouczającej nagości.

Mają niemcy i inne jeszcze sekrety. Trudno przypuścić a jednak jest to faktem, że przymusowe niemczenie ludności polskiej odbywa się u nas w niektórych miejscowościach nie gorzej, niż w Poznańskiem. W Łasku mieszka pastor, gorliwy krzewiciel niemczyzny, który przy chrzcie zmienia samowolnie polskie nazwiska

dzieci na niemieckie. Dziecko Słowickiego zapisane zostało w metryce pod nazwiskiem Nachtigall, dziecko rodziców Cepów otrzymało nazwisko Flegel, Frankowskich — Franck. Pomimo protestu ojców i matek nadużycia tego rodzaju powtarzają się nieustannie, nie znalazł się nikt jednak, ktoby przekonał wielebnego pastora, że zmienianie nazwisk w aktach urzędowych prawa nasze karzą bardzo surowo. Kiedy obecnie sprawa ta ujawnioną została, spodziewać się należy, że władze sądowe zechcą zbadać ją dokładnie, bo jest to ich obowiązkiem.

Z powodu tej wiadomości *Dziennik łódzki* zaznacza inny jeszcze objaw germanizacyi, chociaż już mniej ważny, bo dotyczący nazwy ulic. Łódź w ostatnich czasach rozrosła się szybko, powstały całe dzielnice, którym urzędownie dotychczas nie nadano nazwy, niemcy tymczasem ochrzcili już je na swój sposób: *Spinn-Linie, Bömische-Linie,, Waldschlöschen, Neudorf* itd. Samozwańcze te nazwy używane są nietylko przez prasę miejscową niemiecką, ale figurują nawet w aktach urzędowych. I temu nadużyciu wypadałoby jaknajrychlej kres położyć.

Niemcy w Łodzi posiadają kilka *vereinów*, liczących setki członków, polacy nie mają zaś żadnego miejsca wspólnych zebrań, chociażby dla rozrywki. Kilku ludzi dobrej woli podało projekt założenia Towarzystwa muzycznego, które nie byłoby nawet wyłącznie polskiem, ale przynajmniej nie byłoby też wyłącznie niemieckim. Odpowiednią ustawę przygotowano, ale dotychczas nie podano jej do zatwierdzenia władzy, tymczasem trzebaby się spieszyć, bo chwila bieżąca jest najwłaściwszą dla tego rodzaju starań, może zaś ona przejść rychło, kto wie nawet, czy bodaj już nie przeszła.

Rozruchy skierowane przeciw żydom ustały w ciągu dwóch lat ostatnich. Obecnie wybuchły one w Zawierciu, ale skończyły się prędko i nie przybrały szerszych rozmiarów. W kilkunastu domach robotnicy wybili szyby oraz zranili trzech żydów i dwie żydówki.

Zajście powyższe wynikło, jak donosi *Warsz. Dniewnik*, z tego powodu: W Zawierciu aresztowała policya młodego człowieka, ubranego jak zakonnik, który wzbudził podejrzenie, iż udaje księdza, dla łatwiejszego wyłudzenia pieniędzy za obrazki, kupione jakoby w Częstochowie. Młodzieniec ów zeznał, że jest braciszkiem z klasztoru bernardynów w Krakowie, lecz nie mógł należycie udowodnić tego. Nazajutrz kiedy aresztowanego prowadzono do zarządu gminnego, dla odstawienia go do Bendzina, tłum żydów otoczył policyantów, naigrawając się z więźnia i urągając jego księżej sukni. Oburzyło to robotników-katolików, którzy z powodu święta przechadzali się po ulicach, wszczął się z początku spór, a potem bójka, która skończyła się, jak powiedziano wyżej.

W wypadku powyższym żydzi całkowicie przypisać muszą winę samym sobie. Postępowanie ich było naganne pod każdym względem. Okazali bowiem fanatyzm, ciesząc się z poniżenia przedstawiciela religii obcej, urągali cudzemu nieszczęściu, wreszcie popełnili nieostrożność, której pod groźbą strasznej katastrofy unikać winni. Wobec rozbudzenia namiętności rasowych, postępować winni bardzo oględnie, ustępować tam nawet nieraz, gdzie mają słuszność. Przykra to rzecz, bezwątpienia, przyznawać dobrowolnie swoje położenie wyjątkowe, ale należy liczyć się z faktami istniejącymi. Żydom we własnym ich interesie nie wolno zapominać, że iskra nienawiści ku nim tli się pod popiołem uspokojonych namiętności. Iskrę tę w każdej chwili rozdmuchać może w płomień wypadek, zła wola pojedynczej osobistości, zbieg wydarzeń lub własna ich nieoględność.

J. Nieborski.

BRITISH MUSEUM.

Jeden z przyjaciół naszego pisma przesyła nam następującą notatkę:

Z polaków, dla pracy naukowej udających się za granicę, rzadko kto przez czas dłuższy przebywa w Londynie; większa część podąża do Paryża i ma nadzieję tam znaleźć największe środki biblioteczne, najobfitszy materyał do badań. Wyższość jednak biblioteki British Museum nad paryską Bibliothèque Nationale uznaną została przez wszystkich, co tam pracowali, więc warto podać polskim czytelnikom niektóre szczegóły urządzenia tej instytucyi, mało u nas znanej.

Początek swój ta dziś olbrzymia biblioteka zawdzięcza ofiarności prywatnej. Sir Hans Sloane, lekarz królewski, po Newtonie prezes Royal Society umarł w Chelsea pod Londynem 11 stycznia 1753 r. mając 92 lata, a swój zbiór książek i przedmiotów sztuki, który go kosztował 50,000 funtów szterlingów, oddał rządowi angielskiemu za 20,000 f. szt.; wrazie gdyby jego propozycya nie została przyjętą, po kolei miano ją robić Akademiom petersburskiej, paryskiej, berlińskiej i madryckiej. Parlament angielski przyjął ofiarę, zapłacił 20,000 f. szt. dzieciom Sloane'a, dodał 10,000 na zakupienie zbioru rękopisów Harleya, postanowił połączyć wszystkie te zasoby z kolekcyą Cottona, która od 1700 r. była własnością narodową, i nazwać powstałą stąd kolekcyę British Museum. Zarząd jej powierzono 41 opiekunom (trustees), z których 6 było przedstawicieli rodziny Sloane'a, Cottona i Harleya, 20 wysokich dygnitarzy państwa i 15 ludzi biegłych, wybranych przez poprzednich.

Dla pomieszczenia zbiorów zakupiono za 10,000 f. szt. Montagne house na Russelstreet, wtedy na krańcach miasta położony. Muzeum zostało otworzonem dla publiczności w r. 1759 15 stycznia i składało się wtedy z trzech oddziałów: książek, rękopisów i historyi naturalnej. Dopiero w XIX wieku ilość osob odwiedzających zaczęła się znacznie powiększać:

Od	maja 1807	do	maja 1808	13,046	osób
„	marca 1817	„	marca 1818	50,172	„
„	Boż. N. 1827	„	Boż. N. 1828	81,228	„
„	„ „ 1837	„	„ „ 1838	266,008	„
„	„ „ 1847	„	„ „ 1848	897,985	„
„	„ „ 1850	„	„ „ 1851	2,527,216	„

Akt parlamentu, ustanawiający British Museum, upoważnił do urządzenia loteryi, za pomocą której zebrano 100,000 f. szt. Na zakupywanie książek wydawano do końca XVIII stulecia niewiele, zaledwie pięć razy wydatek ten przeszedł sumę 400 f. t. Potem wyszafowano:

Od 1796 do 1806 r.	4,401 f. szt.
„ 1806 „ 1816 „	33,173 f. szt. i oprócz tego 35,000 f. szt. na zakupienie „Elgin gallery“ marmurowych posągów i zabytków wykopanych w Grecyi przez lorda Elgina.
Od 1816 do 1826 r.	30,583 f. szt.
„ 1826 „ 1836 „	49,434 f. szt.
„ 1836 „ 1846 „	więcej niż 16,000 f. s. rocz.
od 1859 r.	21,955 f. szt. rocznie, z których:
	10,000 „ „ na książki
	2,550 „ „ „ rękopisy
	2,115 „ „ „ rysunki
	3,050 „ „ „ starożytności.

Z 10,000 f. szt. rocznie wydawanych na książki około 2,000 f. s. idzie na niemieckie, 2,000 na francuskie, 1,000 na amerykańskie, 1,000 na włoskie itd. Każdej książki drukowanej w Anglii jeden egzemplarz jest bezpłatnie złożony w British Museum.

W ciągu lat od 1823 do 1847 wybudowano gmach nowy z 44 kolumnami jońskiemi od frontu i z wielką salą okrągłą jako czytelnią. Czytelnia ta ma 140 stóp średnicy i 106 stóp wysokości, i posiada największą kopułę w świecie po kopule Panteonu rzymskiego (142 stopy średnicy). Ściany jej są pokryte do 25 stóp wysokości książkami. Niżej znajduje się około 20,000 tomów dzieł najwięcej używanych, słowników, bibliografij, podręczników, klasyków it. Te 20,000 tomów zupełnie oddano do użytku ogółu. Każdy może brać dowolnie i bez żadnych utrudnień książkę, której potrzebuje. Pomimo tej łatwości zawsze na półkach wzorowy panuje porządek i nigdy książki nie giną. W środku czytelni ustawione są szafy z katalogiem alfabetycznym druków, posiadanych przez British Museum. Katalog ten mieści się w 2,000 tomów.

Ilość dzieł całej biblioteki podają na 1,300,000 tomów. Aby dać wyobrażenie o tem, jak obce literatury są uwzględnione, wyliczę niektóre z dzieł polskich. Kraszewskiego lub o Kraszewskim jest 132, oprócz tego pod pseudonymem Bolesławity 20 (wliczone w to niektóre tłomaczenia na języki niemiecki, czeski, francuski). Z współczesnych pisarzów zauważyłem w katalogu nazwiska: Chmielowskiego, Orzeszkowej, Asnyka, i wielu innych. Także cała biblioteka Turowskiego, Brockhausa, encyklopedya Orgelbranda, dwa wydania słownika Linde'go itd. Także i pisma peryodyczne, zaczynając od *Acta litteraria regni Poloniae et magni ducatus Lithuaniae*, z 1757 roku aż do współczesnych. *Biblioteka warszawska* od 1841 roku, wogóle 47 pism polskich wychodzących w różnych czasach w Warszawie, a oprócz tego wiele wychodzących w innych miastach.

Międzynarodowy charakter British Museum przejawia się nietylko w doborze zakupywanych dzieł, ale także w składzie zarządu. Z pomiędzy pierwszych sześciu dyrektorów od 1756—1866 r. trzech było anglików i trzech cudzoziemców. Obecnie jednym z bibliotekarzów jest też polak, p. J. Naake, bardzo dla rodaków uprzejmy i usłużny.

Praca w British Museum daleko wygodniejsza niż w paryskiej Bibliothèque Nationale: pierwsza otwarta 11 godzin dziennie a druga tylko 6. Książki są prędzej podawane i większą ilość na raz można używać. Wieczorem czytelnia jest oświecona elektrycznie, więcej niż 400 wygodnych miejsc mają czytelnicy. W Paryżu brak katalogu, nieład i nieporządek w wydawaniu książek, brak wielu dzieł najważniejszych nadzwyczaj pracę utrudnia. Dlatego też wszystkim, którzy chcą zebrać obfity materyał w jakiemś przedsięwzięciu naukowem, gorąco zalecić można, aby zamiast do Paryża, wybrali się do Londyna.

W. L.

KRONIKA BIEŻĄCA.

Opłata wpisów szkolnych już się rozpoczęła. Biednych uczniów, którzy nie mogą jej wnieść i liczą na miłosierdzie publiczne, polecamy dobremu sercu przyjaciół naszego pisma, tak chętnie i szczodrze opatrujących tego rodzaju ubóstwo.

Cacko prawdziwe a wielce miłe puściła w świat księgarnia Gebethnera i Wolffa. Jest to *Pan Tadeusz* w małem, ozdobnem i gustownem wydaniu. Należała się arcydziełu Mickiewicza i ta wytworna szata, w którą przybrano już utwory wszystkich wielkich pisarzów zagranicznych. Korekta staranna, druk czysty i wyraźny, papier dobry, oprawa piękna, a wszystko wyszło z Krakowa, nie z Lipska od Brockhausa — jak zwykle u nas bywa.

Rady dla młodych mężatek — praca d-ra J. Stelli-Sawickiego, wyszła w trzeciem wydaniu. Pisaliśmy o niej szczegółowo, gdy ukazała się po raz pierwszy, trzecia edycya przekonywa, że *Rady* znalazły szerokie zajęcie.

Prasa. *Fortuna* urodziła *Figaro warszawskie*, z *Figara* zaś narodził się *Głos*, z którego grono ludzi, niemających dostatecznego zajęcia w pismach obecnych, chce zrobić organ samodzielny. Pomimo wszakże wysiłku uzasadnienia dlań racyi bytu, prospekt jest tylko nie we wszystkich punktach zgodną przeróbką istniejących pism postępowych i dowodzi raczej potrzeby

nowego organu dla kilku literatów, niż dla społeczeństwa, przeladowanego wydawnictwami jednorodnemi. Przedsięwzięciu temu ma przewodniczyć p. Kiersz, w literaturze wcale nieznany.

Nowe wydawnictwo. Redakcya *Hodowcy* wydawać ma *Encyklopedyę rolniczą*, będzie to właśnie uzupełnienie poprzedniej, w którem zawarte będą wszystkie zmiany i ulepszenia, dokonane w rolnictwie w ciągu lat ostatnich.

Bibliografia. X. G G. *Antek urlopnik*, powieść ludowa. Warsznwa.

— Aleksander Mańkowski: *Minowski*, komedya w 4 aktach. Warszawa.

— X. G. Grabowski: *Słowa prawdy o papierosianej modzie i o pijaństwie*. Warszawa.

— Michał Krzemień: *Józio Mularczyk i ks. Jan Bosco*. Warszawa.

Cholera. Wobec zbliżania się epidemii cholery ku granicom Królestwa i gubernij południowo-zachodnich, zaprowadzona została rewizya lekarska osób przybywających z zagranicy, na wszystkich komorach przy granicy austryackiej i rumuńskiej.

Matejko wykończył nowy obraz, przedstawiający Bohdana Chmielnickiego w chwili, kiedy składa przysięgę na wierność Rosyi.

Bank włościański w trzech guberniach południowo-zachodnich wydał pożyczek na kupno ziemi 2,831,494 rs., włościanie zaś dopłacili 915,125 rs.

Okrutny pomysł. Zarząd ogrodu Saskiego w celu zapobieżenia, aby psy nie przełaziły między kratami, polecił zrobić siatki druciane, które bez żadnej potrzeby zaopatrzono ostrymi szpicami. Widocznie chodzi nietylko o to, żeby nie wpuścić psów, bo na to siatka wystarcza, ale żeby i kaleczyć zwierzęta. Ostre szpice mogą również kaleczyć ludzi, zwłaszcza w razie natłoku publiczności na trotoarze obok kraty.

Napływ młodzieży. Do instytutu technologicznego w Petersburgu na 160 wakansów było 440 kandydatów, do instytutu inżenierów komunikacyi na 60 miejsc — 183, do szkoły telegraficznej na 26 — 187.

Wystawa koni z całego państwa rosyjskiego odbędzie się w roku przyszłym w Petersburgu.

Pod pręgierzem. W rubryce tak zatytułowanej *Tydzień* piotrkowski umieszcza hrabiego Potockiego, który przegrał w Wiedniu 400,000 złr. i hrabinę Bnińską, która majątek swój sprzedała dobrowolnie komisyi kolonizacyjnej w Poznańskiem.

Kolonizacya. *Swiet* donosi, że do Władywostoku przybył pełnomocnik polaków wygnanych z Prus, p. Matuszewski, ażeby wybrać grunty dla przesiedlających się nad Amur kolonistów. Podobno zamierza się przesiedlić 9,000 ludzi. Ziemię daje rząd darmo.

Tańszy robotnik. Fabrykanci łódzcy zauważywszy, że w Warszawie łatwiej jest znaleźć robotników i że najem taniej kosztuje, przenoszą tutaj przędzalnie, a nawet i warsztaty tkackie.

Wzrost człowieka, według obserwacyj prof. Márnela, podlega zmianom w ciągu dnia, mianowicie wieczorem zmniejsza się. Różnica bywa czasem dosyć znaczna, wynosi bowiem przeszło 5 centymetrów (?).

Projekt ustawy hypotecznej dla Cesarstwa wniesiony będzie w listopadzie do Rady państwa.

Giełda rolnicza. W Warszawie ma być utworzoną giełda rolnicza z filiami na prowincyi dla ujawnienia istotnej podaży zboża, pośredniczenia w sprzedaży, oraz uregulowania i sumiennego notowania cen. Ostatni ten punkt nabiera wagi wobec nowego wykrycia *Wieku*, który dowiódł, że *Gazeta handlowa* podaje znowu nieraz ceny niższe, przez co naraża rolników na straty.

Monopol tytuniowy ma być podobno wprowadzony w Cesarstwie i Królestwie. Dla zapoznania się z urządzeniami tego rodzaju w Austryi, Francyi i Włoszech, ministeryum skarbu wysłało kilku urzędników za granicę.

Wynalazek. P. Kazimierz Sosnowski w Paryżu wynalazł nową bateryę elektryczną, która przewyższa siłą wszystkie dotychczas znane, jest zaś od nich o wiele tańsza.

Zmarli. Ignacy Rogala Iwanowski, b. profesor prawa międzynarodowego w uniwersytecie petersburskim, wykładał również prawo państwowe w liceum aleksandryjskiem i w t. z. korpusie morskim. Pisał głównie po rosyjsku, po polsku tylko drobne artykuły.

ODPOWIEDZI REDAKCYI.

P. J. R. w Przasnyszu. Obu przymiotów żadna nie łączy. Najobszerniejsze Wiszniewskiego, Maciejowskiego (niedokończone) i Zdanowicza, najlepsza Kuliczkowskiego. Po polsku całkowitej i dobrej historyi powszechnej nie mamy; dla starożytności i wieków średnich podręczniki Korzona.

P. Helenie Z. Wyliczać tu całego szeregu dzieł nie możemy. W przygotowanym przez nas do druku katalogu dla samouków znajdą panie odpowiednie wskazówki.

P. Ad Nielub. Jest to gawęda możliwa w liście przyjacielskim, ale nieodpowiednia do druku.

Stał. prenum. Autorem tych prac jest W. Czaplicki.

Ogłoszenia.

Courbevoie, dnia 23 września 1886 r.

Kuryer warszawski pomieścił najprzód ogłoszenie płatne o cywilnym pogrzebie Matyldy z Koelichenów Rudzkiej, potem zaś nazwał je sprawiającą smutne wrażenie manifestacyą, dodając przytem parę szczegółów z rozmowy, podsłuchanej w kantorze własnej redakcyi.

Jako wykonawca ostatniej woli zmarłej mej matki zawiadomiłem redakcyę*), że cywilna forma pogrzebu i także o niej ogłoszenie były zastrzeżone ostatnią wolą zmarłej, i prosiłem o stosowne sprostowanie. Ponieważ mi takowego odmówiono, zmuszony jestem przeciw taktyce *Kuryera warszawskiego* zaprotestować i całe zajście oddać pod sąd opinii publicznej. Niech ona sądzi, kto się *niesmaczniej* zamanifestował, czy *Kuryer* swoją prawomyślnością, czy ja poszanowaniem dla rozporządzeń zmarłej?

P. Rudzki.

*) List mój do *Kuryera warszawskiego* dnia 8 sierpnia z Vichy brzmiał dosłownie tak:

Szanowny Panie Redaktorze!

W *Kuryerze warszawskim* z dnia 21 lipca r. b. czytam komentarz od Redakcyi do nekrologu, umieszczonego w przeddzień z powodu śmierci mojej nieodżałowanej matki. Artykuł ten bardzo mnie zmartwił, gdyż zdawało mi się, że nasz kraj może się poszczycić tolerancyą poglądów, tymczasem spotkał mnie straszny zawód, przekonałem się, że jest przeciwnie.

Wykonałem tylko ostatnią wolę zmarłej, wyprawiając jej pogrzeb cywilny, co mogę dowieść zeznaniem naocznych świadków każdemu, kto tego będzie żądał, ogłosiłem zaś fakt dokonany, jako rzecz zwyczajną we Francyi i we wszystkich cywilizowanych krajach kuli ziemskiej, nie przewidując, iż ściągnę przez to na siebie obrażające uwagi Pańskiego pisma. Co zaś do manifestacyi, to miałbym większe prawo posądzać o nią Szanowną Redakcyę, która ogłasza nekrologi ze wszystkimi szczegółami ceremonii religijnej i nie widzi w tem żadnej chełpliwości, jeżeli tylko posiadają sankcyę tradycyi.

Upraszam Szanownego Pana Redaktora o umieszczenie niniejszego listu w *Kuryerze warszawskim*, o co prosiłbym osobiście, gdyby nie choroba nerwowa, która mnie zmusza do pozostania w Vichy.

Pozostaję z wysokim szacunkiem i poważaniem

P. Rudzki.

Najnowsze wydawnictwa księgarni

GEBETHNERA i WOLFFA

Burzyński K. Tahir Bej. Powieść ze wspomnień życia obozowego. 2 tomy. Rs. 1 k. 80.

Chmielowski P. Adam Mickiewicz. Zarys biograficzno-literacki, 2 tomy, z dwoma portretami Adama Mickiewicza, rs. 5; w oprawie rs. 6 kop. 60.

Chmielowski P. Kobiety Mickiewicza, Słowackiego i Krasińskiego. Wydanie 3-cie, poprawione i pomnożone, Rs. 2.

Kaczkowski Z. Abraham Kitaj, powieść z czasów króla Jana. 2 tomy, Rs. 3.

Mickiewicz A. Pan Tadeusz, czyli ostatni zajazd na Litwie. Historya szlachecka z roku 1811 i 1812. Wydanie nowe, kieszonkowe, z portretem stalorytowym autora. W ozdobnej oprawie, brzegi złocone, Rs. 2.

Sawicki-Stella J. Dr. Rady dla młodych mężatek. Wydanie 3-cie, przejrzane, poprawione i dopełnione, Kop. 75.

Spirydion. Kodeks światowy czyli znajomość życia we wszelkich stosunkach z ludźmi, na podstawie najlepszych źródeł ułożony. Wydanie drugie, przejrzane i znacznie powiększone, Kop. 60.

Walicki A. Błędy nasze w mowie i piśmie ku szkodzie języka polskiego popełniane, oraz prowincyonalizmy. Wydanie 3-cie, poprawione i pomnożone, Rs. 2.

Student Uniwersytetu

poszukuje lekcyi lub odpowiedniego zajęcia. Oferty przyjmuje Redakcya **Prawdy** pod literami **S. D.** 2—3

Nakładem **Prawdy** wyszło ilustrowane dzieło słynnego badacza angielskiego J. E. Taylora p. t.:

ZMYŚLNOŚĆ I MORALNOŚĆ ROŚLIN

w przekładzie J. K. Potockiego.

Książka ta, która liczy zaledwie parę miesięcy a już zapowiadaną jest w przekładach na kilka języków europejskich, w mistrzowski sposób, w niegwałcących ścisłości naukowej upodobnieniach stosunków roślinnych do ludzkich popularyzuje prawdy i najnowsze odkrycia botaniczne, otwierając najmniej przygotowanym nowy a uroczy świat zjawisk.

Treść: Przebiegłość kwiatów.— Ich dyplomacya.— Gra w chowanego.— Obrona nie zaczepka.— Współdziałalność.— Społeczne i państwowe gospodarstwo roślin. — Ubóstwo i bankructwo. — Rabunek i morderstwo. — Odwrotna strona medalu. — Geograficzne rozpowszechnienie roślin.

Cena (w gustownej oprawie) rs. **2**; dla abonentów naszych, rs. **1** k. **50**.

Zwracający się z żądaniami bezpośrednio do naszej Administracyi kosztów przesyłki pocztowej nie ponoszą.

Departament Handlu i przemysłu St. Petersburg Nr. 1360.

Telegramy: Ritter Warszawa.

Broszurka bezpłatna — Gwarancya długoletnia

Telegramy: Ritter Warszawa.

„EXSICCATOR”

Zabezpiecza **wszystko** co z drzewa od gnicia, niszczy grzybek drzewny, osusza wilgoć w starych domach i zabezpiecza **nowe**. **Dezinfekuje.** Zastępuje **olejną farbę** we wszelkich kolorach i **tańszy** od tejże o 50%.

Inżynier **RITTER**, Warszawa, Królewska Nr. 39.

Poszukuję agentów.

Druk K. Kowalewskiego, ulica Królewska Nr. 29. Дозволено Цензурою. Варшава, 19 Сентября 1886 г. Redaktor i Wydawca, dr. fil. A. Świętochowski.